MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 40. WARSZAWA, 16 WRZEŚNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

OPINJA A POLITYKA ZAGRANICZNA

BYWAJĄ w polityce dłuższe okresy zastoju, kiedy nic się napozór nie dzieje. Są to okresy z natury rzeczy sprzyjające rozkwitowi zarozumiałej frazeologji i chwalby urzędowej.

Stosunkowo łatwo bowiem propagować czyjeś kwalifikacje, kiedy wypadki nie wystawiają ich na próbę. Inaczej jest w momentach przesilenia. Nielogiczności frazesów, gładko obiegających, zostają nagle skontrolowane i wykazane przez same zdarzenia.

Gazety półurzędowe bezustannie ogłaszają, iż wyższość naszych czasów polega na tem, że posiadamy rząd, który rządzi, jak chce, bez informowania opinji i bez oparcia się na niej. „Wyższość" ta znakomicie się ujawniła teraz, kiedy uwaga społeczeństwa skupiła się na kwestjach polityki zagranicznej.

Od szeregu miesięcy prowadzone są rokowania w sprawie t. zw. paktu wschodniego. Jedynym dotąd widocznym ich rezultatem jest zmniejszenie się zaufania sojuszniczego w stosunkach polsko-francuskich. O samym pakcie zaś jedyną, mającą powagę wiadomości urzędowej, informację zaczerpnąć mogliśmy tylko... z noty niemieckiej, będącej odpowiedzią na poufne propozycje francuskie. Jest to bądźcobądź — uboczne tylko dla nas źródło wiadomości o zagadnieniach, przed któremi staje obecnie polityka polska.

I z tej ubocznej wskazówki orjentacyjnej nie mogło jednak jeszcze korzystać społeczeństwo, kiedy już publicyści półurzędowej „Gazety Polskiej" wzywali naród do solidarnego poparcia stanowiska, zajmowanego przez ministra spraw zagranicznych w Genewie. „Gazeta" zapomniała zupełnie o tem, że opinja nie została wcale przez czynniki miarodajne oświecona, ani co do natury wchodzących w grę zagadnień, ani co do dróg, na które wstąpiła urzędowa polityka polska. „Opinja polska" — pisała „Gazeta" w dn. 9 września — „śledzić będzie wysiłki i prace naszego kierownictwa polityki z żywym niepokojem. Rozumiemy bowiem trudności, jakie trzeba zwalczyć. Zdajemy sobie również sprawę ze znaczenia i powagi spraw, o które chodzi". „Rozumiemy", — „zdajemy sobie sprawę", — gdy kiedyindziej główną zaletę systemu upatruje się w tem przecież, że właśnie „nie rozumiemy", „nie zdajemy sobie sprawy"... „Minister Beck w Genewie nie jest sam. Jest z nim cały kraj — niespokojny, lecz zdecydowany bronić swego słusznego stanowiska" — pisze w dalszym ciągu „Gazeta" — „i przekonany, że minister Beck da właściwy wyraz temu stanowisku całej Polski".

Słowem, społeczeństwo wezwane jest do solidaryzowania się z polityką, której nie zna, co do której nie otrzymało ani słowa urzędowego wyjaśnienia, a takie jedynie miałoby znaczenie wskazówki miarodajnej.

Nie jest coprawda bezsensowne wezwanie do poparcia polityki urzędowej w momencie kryzysu na ślepo. W przełomowych chwilach ma to owszem, niekiedy, pewną rację. Ale nie można stale żądać popierania jakiejkolwiek polityki na ślepo. Kwestje kompentencji, zdolności, przygotowania, wła-

ściwej reprezentacyjności i t. d. przedstawicieli, mogą, oczywiście, w chwilach krótkich, a wyjątkowo doniosłych usuwać się narazie na plan dalszy. Niema bowiem wtedy czasu na naprawę tego, coby naprawić należało. Ale nie mogą być usunięte na dalszy plan na stałe. Możliwe jest to tylko w teorji politycznej, która wogóle opinję kraju, jako czynnik polityczny, odsunąć chce na plan bardzo daleki.

JAN RUDIS

TRAKTAT W TAIF

I ZMIANY W ARABJI

PAROTYGODNIOWA WOJNA Ibn-Sauda, króla Nedżdu i Hedżasu, z Imanem Jemenu Yahią przeszła dość cicho na tle wielkich wydarzeń europejskich. Pod kątem widzenia miejscowym jednak chodziło tam o wypadki bardzo dużej wagi dla Blizkiego Wschodu, dla całokształtu ruchu arabskiego, wreszcie dla całego Islamu.

Gdy cofniemy się o dwadzieścia lat wstecz, znajdziemy arabskie szczepy, podległe wówczas Turcji, a raczej sułtanowi w jego charakterze kalifa Islamu, rozbite na szereg szczepów-kraików z kilkoma dynastjami szeików na czele.

Z tych ostatnich najbardziej znaną stała się w ciągu wojny światowej z r. 1914 — 1918 rodzina Haszimitów. Głowa jej, emir Hussein był uznany przez Turcję w swoim czasie jako emir Hedżasu, kraju proroka, w którym leżą święte miasta Mekka i Medyna.

Druga taka dynastja, szeików Saana, opanowała dzisiejszy Jemen. Była ona również uznana przez rząd turecki.

Mniejsze znaczenie miała rodzina Idrisich, osiadła w oazie Sabja na północ od Jemenu.

Arabja środkowa była dla rządu tureckiego źródłem ciągłych kłopotów. Trwały tam nieustanne walki między szefem sekty Wahabitów, ówczesnym szeikiem Ibn-Saudem a rodziną Raszidów. Położenie Ibn Sauda było o tyle trudniejsze, że Wahabici byli uznani przez Kalifat za heretyków i nieustannie tępieni. Zato Raszidzi byli popierani przez Stambuł.

Z chwilą wybuchu wojny Arabja stała się polem działalności polityki angielskiej, który starała się wykorzystać przeciw Turcji ruch narodowy arabski.

W tym okresie właśnie wysunęła się naprzód rodzina Haszimitów. Szeik Hussein rozpoczął otwarte działania wojenne przeciw Turcji, oddając Anglji wielkie usługi. Po stronie aljantów opowiedziała się jednak tylko część Arabów. Raszidzi stanęli po stronie Turcji. Ibn Saud zajął stanowisko wyczekujące, następnie zaczął wojnę z Raszidami.

Klęska i upadek Turcji postawiły na porządku dziennym kwestję zjednoczenia Arabji. Wydawało się, iż należy przewidywać niezwłoczne powstanie państwa Wielkiej Arabji pod berłem Husseina. Tymczasem jednak chwila ta okazała się początkiem załamania się rozpędu Haszimitów. Powodem tego były błędy Husseina, który liczył na jaknajdalej idące poparcie Anglji. Tymczasem rząd angielski tego poparcia nie miał mu zamiaru udzielać.

Z jednej strony Anglja nie dążyła i nie mogła dążyć do stworzenia wielkiego państwa arabskiego, zbyt silnie ożywionego prądami niezależności. Z drugiej strony Hussein nie chciał poddać się pod ścisły protektorat Anglji, ani też zgodzić się na to, by z całej Arabji zrobić mandat angielski.

Dlatego też polityka angielska poszła w kierunku stworzenia szeregu państw arabskich niezależnych, albo nawpół niezależnych. Syrja przypadła w ten sposób Francji. Z Palestyny zrobiono mandat angielski pod pretekstem utworzenia państwa żydowskiego. Z Transjordanji i Iraku zrobiono także mandaty. Jemen utrzymał się jako państwo niepodległe. Hussein został przy Hedżasie.

Położenie tego ostatniego pogarszało się z roku na rok. Rozczarowanie i niezadowolenie niepodległościowców arabskich i podział Arabji podcięły jego *prestige*. Długotrwałe walki z Turcją, potem nieszczęśliwa wyprawa na Syrję zniszczyła siły materjalne. Wreszcie od r. 1920 jest on całkowicie pozbawiony poparcia Anglji, dla której stopniowo staje się elementem niepożądanym.

W tym okresie zaczyna się właśnie ożywienie aktywności Ibn Sauda.

W roku 1919 wyrzucił on z Arabji Środkowej, z tzw. Nedżdu ostatnie siły Raszidów i rozpoczął podjazdową walkę przeciw Husseinowi. Stan taki trwa do roku 1924, kiedy rozpoczyna się otwarta wojna między Wahabitami a Haszimitami, która skończyła się definitywną klęską Husseina i jego syna Abdulli. Wojska Ibn Sauda zajęły Hedżas wraz z Mekką.

Okupacja ta, w formie stanu *de facto* trwała do roku 1926, kiedy Ibn Saud obwołał się królem Hedżasu, doprowadzając w ten sposób do unji personalnej między Hedżasem i Nedżd.

Teraz zaczyna się okres wysiłków Ibn Saudu w kierunku konsolidacji uzyskanych zdobyczy.

Zwłaszcza jego nowa sytuacja jako króla Hedżasu, to jest Ziemi Świętej mahometan, nabierała szczególnego znaczenia i dlatego naczelnym jego celem stało się uzyskanie aprobaty świata muzułmańskiego. Po długich staraniach udało się mu doprowadzić do zwołania w Mekce kongresu muzułmańskiego, gdzie przeprowadził uznanie siebie jako króla Hedżasu i opiekuna miejsc świętych.

Wślad za tym pierwszym sukcesem międzynarodowym przyszedł drugi, uznanie Ibn Sauda przez Anglję, Francję, Holandję i Sowiety, to jest przez wszystkie państwa (europejskie), władające na obszarach zamieszkałych przez muzułmanów. Zewnętrzna manifestacją nowej dynastji była podróż Ibn Sauda, wicekróla Mekki, Emira Feizala do Londynu i Paryża w r. 1927.

Nowopowstałe państwo arabskie objęło swą powierzchnią dwie trzecie półwyspu Arabskiego. Nedżd sam obejmuje jego środek, granicząc od wschodu z Irakiem, na północy z Transjordanją, na południu z Jemenem, ze wschodu dotyka gra-

nicy perskiej. Hedżas graniczy również z Palestyną, Transjordanją, od zachodu zaś z morzem Czerwonem.

Wszystkie powyższe kraje, z wyjątkiem Jemenu, znajdują się w takim czy innym stosunku zależności od Anglji. Szereg problemów granicznych i innych, jakie na tem tle się zarysowały, został rozwiązany przez *modus vivendi*, ustalony w traktacie, zawartym w r. 1927 z Anglją.

Do niedawna wszystkie wysiłki Ibn Sauda były skierowane nawewnątrz jego dualistycznego państwa. Dopiero w roku bieżącym wybuch wojny z Jemenem rozpoczął nowy okres ekspansji zewnętrznej.

Krótka i zwycięska walka została zakończona podpisaniem traktatu pokojowego w Taif, który wprowadza do układu sił na półwyspie Arabskim daleko idące zmiany.

Bezpośrednią przyczyną zatargu były resztki posiadłości rodziny Idrisi, które od dłuższego czasu były przedmiotem sporów granicznych między Hedżasem a Jemenem. Traktat w Taif zajął się przedewszystkiem tą sprawą. Uznał pełną suwerenność Ibn Sauda nad temi terytorjami i nakazał wydanie temu ostatniemu tych Idrisich, którzy schronili się na terytorjum Jemenu, prosząc Yahię o obronę przed Ibn Saudem.

Następnie klauzule militarno-polityczne przewidują aneksję lub obsadzenie przez wojska Hedżasu szeregu punktów stategicznych na granicy Jemenu. W ten sposób Ibn Saud zdobędzie stałą hegemonję wojskową nad posiadłościami Yahii.

Ważniejszemi jednak są postanowienia polityczne.

Już suggestywna jest sama nazwa traktatu, określonego jako „Traktat przyjaźni mahometańskiej i braterstwa arabskiego".

W imię tej przyjaźni obaj panujący ogłaszają (art. 16), że ludy podległe ich władzy stanowią jeden i ten sam naród. Zobowiązują się do niesienia sobie nawzajem wszelkiego rodzaju pomocy w razie napadu zewnętrznego, postanawiają koordynować swe wysiłki w celu podniesienia ekonomicznego i moralnego swych ludów. Zobowiązują się dalej do rozstrzygania wszelkich sporów w drodze arbitrażu. Współpraca ta ma iść tak daleko, iż przewidziano nawet reprezentowanie dyplomatyczne interesów jednego państwa przez przedstawicieli drugiego.

Traktat w Taif w ten sposób, nie wspominając wprost o jakimś protektoracie Ibn Sauda nad Jemenem, stwarza nie mniej tego rodzaju stan, iż protektorat taki może siłą rzeczy ustalić się *de facto*.

Z punktu widzenia międzynarodowego traktat w Taif przynosi pewną zmianę, jeżeli chodzi o stanowisko Włoch.

Jak wiadomo, te ostatnie nie bardzo były zadowolone z tego, co im dały traktaty pokojowe. Dlatego też nie bardzo się czuły związane różnemi rozmowami międzysojuszniczemi z czasów wojny, w których przewidywano, iż po ewentualnem zwycięstwie kraje arabskie, z wyjątkiem Syrji, mają stanowić pole dla swobodnego rozwoju wpływów angielskich.

W r. 1926 rząd włoski nawiązał bliski kontakt z władcą Jemenu, położonego naprzeciw włoskiej Erytrei i zawarł z nim traktat przyjaźni, który między innemi zawierał dość duże przywileje handlowe dla Włoch. W roku 1927 urządzono nawet specjalny wyjazd misji Jemenu do Rzymu.

Anglja nie mogła w żadnym wypadku być zbyt zadowolona z tej polityki, lecz chwilowo nie znajdowała pretekstów do otwartego przeciwdziałania.

Otóż obecnie, o ile jakieś poważniejsze wpływy włoskie zdołały się w Jemenie umocnić, to po traktacie w Taif otrzymały one bardzo silny cios: na miejsce mglistego zainteresowania Włoch wstępuje bardzo realna hegemonja Ibn Sauda. O tyle, o ile dobre są jego stosunki z Anglją, a wszelkie pozory wskazują, że tak jest w istocie, stanowi to pośrednio sukces angielski.

Powszechną uwagę zwróciło umiarkowanie Ibn Sauda, wykazane przez niego w działaniach wojennych i w warunkach podyktowanych Imanowi Yahi'i.

Przyczyny tego mogą być różne. Z jednej strony mogły to oddziałać pewne wpływy Anglji, która życzyła sobie rychłego zakończenia walk, a to z obawy, by w ostateczności, skoroby groziła całkowita aneksja Jemenu, czy też ogłoszenie Ibn Sauda królem Jemenu, nie doszło do interwencji włoskiej na półwyspie arabskim, coby pociągnęło za sobą poważne, a chwilowo zupełnie nie opłacające się komplikacje.

Jeżeli chodzi o interes Anglji, niewątpliwie Ibn Saud musiał się też liczyć z tem, że zbyt nagły i efektowny wzrost jego siły musi doprowadzić do poruszenia w świecie arabskim, do wznowienia ruchu panarabskiego czyli w dalszej konsekwencji do popsucia stosunków z Anglją.

Od Port Saidu do Adenu droga do Indyj prowadzi przez kanał suezki i Morze Czerwone, których brzegi z jednej i z drugiej strony są zamieszkałe przez ludy arabskie. Najważniejsze bazy lotnicze linji Londyn-Indje: Aleksandrja, Haifa, Bagdad leżą na terytorjach arabskich (Irak, Palestyna, Egipt), podobnie jak wielkie angielskie tereny naftowe (Mossul) i jeden z największych portów wojennych Aden.

Oczywistem jest też, że powstanie wielkiego państwa arabskiego nie może leżeć w interesie Anglji.

Z tego właśnie powodu w swoim czasie wysiłki emira Husseina, zmierzające do stworzenia takiego państwa, zakończyły się niepowodzeniem. Z rozpadu Turcji powstało nie jedno państwo arabskie, a szereg różnych tworów politycznych: Egipt, nawpół zależny od Anglji, Irak, związany z nią z protektoratem, ujętym w formę traktatu przymierza, niepodległe, zwalczające się nawzajem państwa: Hedżas, Nedżd i Jemen, mandaty angielskie: Palestyna i Transjordanja.

Wzrost potęgi Ibn Sauda narusza coraz bardziej ten podział i musi zwracać na siebie uwagę polityki angielskiej, z czasem może doprowadzić do kryzysu.

Cała polityka Ibn Sauda dąży właśnie do oddalenia tego kryzysu i do unikania zadrażnień, stąd jej umiarkowanie. Wystrzega się on przykładu Husseina, zdając sobie sprawę, właśnie on najlepiej, jakie były powody upadku tamtego.

Jeżeli jednak Hussein stał sie poniekąd ofiarą ruchu panarabskiego, to pytanie, czy i Ibn Saud potrafi się oprzeć presji, idącej z dołów, z tą chwilą, kiedy stanie się ona tak silna, jak w latach 1919/20. Wślad za upokorzeniem Jemenu otwiera się też dla niego perspektywa dalszych pokus, a przedewszystkiem Transjordanja i Palestyna, znajdujące się już pod bezpośredniem władaniem Anglji.

WOJCIECH KORYBUT

POWSTANIE LISTOPADOWE A ŻYDZI

Wybuch rewolucji lipcowej w Paryżu i naśladujące ją powstanie w Belgji odezwały się żywem echem w Królestwie Kongresowem. Wśród radykalnych żywiołów kraju rozbudziły się nadzieje. Wbrew dążeniom ludzi umiarkowanych, pragnących od roczenia burzy rewolucyjnej, którą uważali za zgubną dla kraju, skrajni parli do czynu. Rozpoczęli oni energiczną kampanję między młodzieżą, wciągniętą do spisku, za natychmiastowem rozpoczęciem akcji zbrojnej. Na czoło agitatorów wysunęli się: Józef Zaliwski podpor. I-go pułku piechoty, „człowiek ordynaryjny, tępego i małego pojęcia, pokątny intrygant i kłamca" (Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego" t. II. 82, 111) i Józefat Bolesław Ostrowski, tak zwany Ibuś, żyd z pochodzenia, Znana gadatliwość polska doprowadziła do odkrycia związku młodzieży akademickiej. Doniesiono o tem w ks. Konstantemu. Została ustanowiona komisja śledcza dla badania konspiratorów. W kołach spiskowych wywołało to zaniepokojenie. Obawiano się, i całkiem słusznie, że komisja śledcza wyciśnie z uwięzionych akademików pewne zeznania i odkryje konspirację i jej zamiary. Postanowiono przeto przyśpieszyć wybuch powstania.

Wypadki nocy listopadowej pobudziły do działania wrogie Polsce żywioły. Energiczną akcję rozwinął znany już nam konsul pruski Szmidt. Jego złowrogą zasługą było, że niedopuścił do zlikwidowania rozwijających się wydarzeń i sprowokował, że stały się one podstawą do późniejszej walki zbrojnej. Pośredniczył on bowiem w poufnej rozmowie między Władysławem Zamoyskim a W. Księciem w ofiarowaniu, w imieniu masonerji, korony polskiej „bratu w zakonie" Konstantemu. Układy te zostały udaremnione wprawdzie na posiedzeniu Rady Administracyjnej przez męskie wystąpienie Lubeckiego, który przeszkodził w swoim czasie rosyjskiemu ministrowi skarbu Kankrinowi (z pochodzenia niemieckiemu żydowi) w zrujnowaniu ekonomicznem Królestwa. Pertraktacje w Wierzbnie uniemożliwiły jednak w pierwszych dniach po nocy listopadowej jasność i decyzję zarządzeń władz, co sprawiło, że rozwój wypadków potoczył się znaną, a tak smutną losów koleją. Pewne koła dążyły też do wywołania jak najżywszych nieporozumień wewnątrz tajnych organizacyj, ażeby pozbawić w nich decydującego głosu rdzenny żywioł polski. Użyto do tego Lelewela, który o swej roli w dziejach spisku Wysockiego zostawił cenne wyznanie. Znajduje się ono w dziele Śliwińskiego p. t. „Joachim Lelewel" str. 201, gdzie czytamy: „Wszakże pochlebiam sobie, żem mógł nieco wpłynąć na przyjęcie zasad przez spiskową młodzież, z których główniejsze przytoczyć wypada. Przysięgali sobie poświęcić się bezinteresownie, powołując tylko naród i wszelkie jego klasy do powstania". Dzięki Lelewelowi w łonie tajnych organizacyj, ofiarujących Konstantemu koronę, zorganizowano spisek, który miast władzy miał przynieść śmierć księciu.

Już w pierwszych dniach po wybuchu powstania członkowie Klubu Patrjotycznego rozpoczęli zgubną dla kraju działalność. Celem klubistów, w których szeregach znajdowało się wielu neofitów, jak np. Jan Czyński, Tadeusz Krępowicki (późniejszy zwierzchnik węglarstwa polskiego), Jan Majewski, Krzyżanowski, kapitan Majzner i wielu innych, była rewolucja społeczna. Nienawidzili oni szlachty, wpatrzeni w rewolucję francuską, której krwawe praktyki chcieli zastosować w Polsce. Gmina rewolucyjna, a nawet rewolucyjna komuna, jako władza najwyższa, była celem, ku któremu zmierzali klubiści.

Na początku grudnia zaczęły krążyć po mieście najdziwaczniejsze wieści, że w Petersburgu wybuchła rewolucja, że Mikołaj zginął, że Francja wypowiedziała wojnę Prusom, że powstało W. ks. Poznańskie, Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina, że korpus litewski przypiął białe kokardy i idzie do wojew. krakowskiego, ażeby je osłaniać przed zamierzonem jakoby wkroczeniem Austrjaków. Szemrano na członków Rządu, zarzucając im brak aktywności. Skrajne żywioły dążyły do zerwania wszelkich rokowań Rządu z carewiczem Konstantym. Po wiecu, który odbył się 3 grudnia w Sali Redutowej, wysłano deputację do Rady Administracyjnej z żądaniem rozpoczęcia bezwłocznej walki z wrogiem.

Głównym celem ukrytych ataków była osoba Chłopickiego, którego rozpoczął zwalczać Klub Patrj. Mechesi nie mogli widocznie przebaczyć dyktatorowi jego dążeń do uniknięcia zbrojnej rozprawy z Rosją. Nie wierzył on w powodzenie powstania, a krwi polskiej rozlewać daremnie nie chciał. W rozmowie z Czartoryskim oświadczył Chłopicki: „Nie mam innych widoków, nadziei i zamiarów, jak tylko Kongresowe Królestwo w całości utrzymać, ale utrzymać z całą niepodległością, jaką mu traktaty i konstytucje zawarowały. Będę żądał, aby odtąd konstytucja nie była martwą literą, ale w całej świętości zachowana została; będę się domagać, aby wojska rosyjskie w Królestwie nie konsystowały, bo to da większe znamię i gwarancję naszej niepodległości. Tego wszystkiego zażądam i otrzymać muszę". (B. Limanowski: „Historja Demokracji Polskiej w epoce porozbiorowej" t. I. 213).

Klub Patrjotyczny, w którego skład wchodzili wojskowi, co nigdy pułków nie widzieli i prochu nie wąchali, literaci bez wydawców, adwokaci bez klijentów, eks-księża i eks-szpiedzy przedpowstaniowego rządu, rozpoczął zaciętą walkę przeciw dyktaturze Chłopickiego. Największą czynność rozwinęli najradykalniejsi z klubistów: Czyński, Krępowicki, Wojciech Kazimierski, J. B. Ostrowski, przy cichem poparciu wpływowych członków innych stronnictw, jak to posła Jasińskiego oraz Krysińskich i Wołowskich, potomków najgorliwszych szermierzy i krzewicieli frankizmu... W „Nowej Polsce" (organie secesji radykalnej części Kaliszan, którego redaktorami byli Kazimierski i J. B. Ostrowski), Dominik Krysiński, prof. uniw. i poseł na sejm pisał o dyktaturze Chłopickiego, że „Europa zrozumie ją, jako przygotowanie do pogromu żydów". Żądał on w drukowanej przez siebie broszurze, ażeby ministrowie byli mianowani przez sejm, a nie przez rząd. Prof. Krysińskiego, za krytykowanie działalności którego został napadnięty na

dziedzińcu zamku królewskiego rektor Linde, wspomagali w walce: deputowany Wołowski, człowiek próżny i żądny popularności, oraz Aleksander Krysiński, sekretarz Chłopickiego, zgięty pokornie, zręczny, nieodłączny totumfacki dobrodusznego dyktatora. Wystąpienia Krysińskich i Wołowskich były zgubnym przykładem dla innych. Niektórzy z publicystów „Kurjera Polskiego", organu Kaliszan (którego redaktorem był Wincenty Majewski, a najwybitniejszym ze współpracowników Adrjan Krzyżanowski), pracującego nad utrąceniem dyktatury, oświadczali wprost, że są gotowi Chłopickiego zastrzelić.

Wprost przeciwne stanowisko zajęła polska młodzież akademicka, grupująca się około prof. Szyrmy. Oświadczyła ona, że gotowa jest użyć gwałtu przeciwko sejmowi, gdyby z jego przyczyny dyktator miał utracić swoją władzę. Studentów popierało społeczeństwo polskie stolicy, które nazywało Chłopickiego zbawcą ojczyzny i porównywało go z Kościuszką. Pełną entuzjazmu dla dyktatora była również armja, która chciała go widzieć na czele rządu zamiast Czartoryskiego. W przekonaniu wojskowych Chłopicki był najdzielniejszym generałem.

Tak wielka popularność Chłopickiego zaskoczyła krypto-żydów. Postanowili oni zaszachować dyktatora. Po odpowiedniem przygotowaniu gremjum posłów, Franciszek Wołowski, na jednem z posiedzeń sejmu przemówienie swoje zakończył okrzykiem: „Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczmy, że Mikołaj I przestał nad nami panować". Następnie sejm przystąpił na wniosek tegoż frankistowskiego mówcy (członka komisji prawodawczej), popartego energicznie przez Krysińskiego, Czyńskiego, Krępowickiego i innych, do uchylenia wszystkich artykułów konstytucji Królestwa, które, po ogłoszeniu detronizacji cara i usunięciu całego jego rodu od tronu, były w sprzeczności z nowym stanem rzeczy. Doprowadziło to do szeregu zatargów między sejmem, a Chłopickim, który uważał, że taka uchwała sejmu utrudnia mu prowadzenie układów z Rosją, gdzie wpływy neofitów żydowskich były też dość silne na dworze carskim. Nie przypadkowo bowiem Mikołaj I, mianując w marcu 1831 r. nowych członków Rady Administr., postawił na jej czele neofitę Engla, a wydział skarbu powierzył zięciowi jego, neoficie Fuhrmanowi.

W styczniu 1831 r. zniechęcony Chłopicki zrzekł się dyktatury. Napróżno pewne koła poselskie, poparte przez armję, czyniły starania o odwołanie tego. Wojsko, którego przedstawiciel, podpułkownik artylerji Dobrzański, wystąpił z formalnem oskarżeniem, że klubiści namawiali saperów i 4-ty pułk linjowy do obalenia dyktatury zbrojną ręką, przyjęło wiadomość o ustąpieniu Chłopickiego z przygnębieniem. Od kilki pułków wysłano deputację, żądając wyjaśnienia, czy Chłopicki został oddalony, czy też sam złożył dyktaturę. Wątpliwości przyjaciół popularnego wodza usunął neofita dr. Wolff, który, jako dawny lekarz i przyjaciel Chłopickiego, prosił ich, ażeby byłemu dyktatorowi nie poruczyli żadnej ważnej czynności, gdyż dostaje on pomieszania zmysłów.

Upadek dyktatury Chłopickiego klubiści uważali jako skompromitowanie się próby szukania ratunku przez jedynowładztwo żołnierza. Zdaniem ich, nic innego nie pozostawało, jak rewolucja społeczna. Miał jej dokonać lud stolicy. Po Warszawie zaczęły krążyć listy osób, których skrajni dla wielu względów znienawidzili. Miały to być pierwsze ofiary „gniewu ludowego". Wkrótce jednak frankistowscy członkowie Klubu Patrj. doszli do żałosnego dla siebie wniosku, iż te rogate czapki Warszawy miały tylko jedną myśl polityczną, jedno uczucie narodowe: „nienawidzieć Moskali" i znali tylko jedno hasło: „wyrżnąć Moskali".

Rzemieślnikom polskim nie brakło bohaterstwa i poświęcenia się. Szli oni w ślady Kilińskich i Morawskich. Z samej czeladzi krawieckiej utworzono artylerję wałową. Podczas szturmu stolicy licho uzbrojony lud śpieszył zewsząd ku obronie. Wszystko inne było dla niego obce. Lud staromiejski, drobni rzemieślnicy, wyrobnicy, czeladnicy, terminatorzy i rybacy Powiśla, gorliwie ciągnąc na wiece i chciwie słuchając mów ognistych, nie chcieli jednak popierać agitatorów, gdy ci sięgali po władzę.

Niepowodzenie nie powstrzymało skrajnych elementów od dalszej działalności. Uważali oni bowiem, że samo powstanie bez rewolucji socjalnej nie uda się. Agitacja klubistów zaczęła przedostawać się do armji. Szczególnie silną stała się po bitwie pod Ostrołęką. Członkowie Klubu starali się wszelkiemi siłami wzbudzić w armji niezadowolenie i podejrzliwość ku zwierzchnikom, zarzucając im zdradę. Na rękę demagogom szło zachowanie się poszczególnych wyższych oficerów pochodzenia frankistowskiego. Zbyt dobrze wiadome było nie podporządkowanie się Szymanowskiego rozkazom dowództwa w bitwie pod Szawlami, która zakończyła się klęską Polaków. Sarkano głośno na Lewińskiego za dezorganizację sztabu i czerpanie bez wiedzy wyższych władz z kasy komisji kwaterunkowej. Mówiono w stolicy o nadużyciach w pracujących dla armji zakładach, nad któremi miał nadzór generał Pawłowski. Puszczono w armji pogłoskę o istnieniu tajnej organizacji „rycerzy sztyletu", która postawiła sobie za zadanie wymordowanie wyższych oficerów. W prasie warszawskiej, kierowanej przeważnie przez neofitów, a specjalnie w organie Klubu, „Nowej Gazecie", subsydjowanej przez zdrajcę Dombrowskiego Ksawerego, rozpoczęło się jawne szczucie przeciwko osobie Skrzyneckiego. Najenergiczniej występował przeciwko naczelnemu wodzowi późniejszy redaktor „Echa miast polskich", Jan Czyński, co do którego istnieją poważne poszlaki, że był on szpiegiem rosyjskim. Antysemita Skrzynecki, który nie chciał generałowi Lewińskiemu powierzyć dowództwa na Litwie, okrzyczany został przez neofitów za zdrajcę, którego trzeba powiesić. Na początku sierpnia 1831 r. Czyński posunął bezczelność tak daleko, iż żądał wprost od rządu, ażeby przedsięwzięto energiczne środki przeciwko Skrzyneckiemu, który, zdaniem Szmitta „(Historja polskiego powstania" t. III, 344) „nie był człowiekiem bezinteresownym", miano obalić Skrzyneckiego i Czartoryskiego z pomocą generała Krukowieckiego, zakamieniałego wroga naczelnego wodza. Mochnacki uważał, że Krukowieckiego, gdy spełni przeznaczoną mu rolę, łatwo będzie usunąć. W domu redaktorowej Chłędowskiej, Czyński, Krępowicki i inni zawiązali tajne sprzysiężenie, mające na celu drogą gwałtownych, rewolucyjnych wystąpień i krwawego zamachu na rząd (przedewszystkiem zaś na Czartoryskiego) obalić go i utworzyć rząd rewolucyjny. Klubiści, zapomniawszy o wojnie i o wrogu, który

znajdował się w pobliżu stolicy, zarzucili miasto proklamacjami, wzywającemi ludność do rewolucji.

W smutny dzień 15 sierpnia 1831 r. tłum zapełnił Sale Redutowe. Zebraniu przewodniczył Czyński, który mówił, że rząd i wodzowie, zamiast przygotowywać wszystko do walki, myślą jedynie o układach. Stąd podniecone masy, z okrzykiem „zdrada", pociągnęły pod Zamek i dokonały krwawego samosądu. Motłoch, powiesiwszy wszystkich więźniów, nie rozchodził się, głośno krzycząc: „Śmierć arystokratom". Chciano zniszczyć drukarnię dziennika „Zjednoczenie". Energiczna interwencja Krukowieckiego zapobiegła częściowo rozszerzeniu się ekscesów. Część tłumu jednak pociągnęła za wolską rogatkę, gdzie dokonała dalszych egzekucyj. Najgłówniejszych jednak zdrajców nie dosięgnęła ręka sprawiedliwości. Dzięki Aleksandrowi Krysińskiemu poginęły akta tajnej policji w Belwederze, zawierające dokładne spisy szpiegów, wśród których nie brak było zapewne przedstawicieli najwybitniejszych rodzin frankistowskich i żydowskich. W Warszawie głośno mówiono o tem, konsekwencyj jednak nie wyciągnięto. Frankistowscy przewódcy klubistów chcieli te smutne wypadki sierpniowe przeistoczyć w prawdziwą rewolucję. Na szereg dni przed zaburzeniami mówili oni o mającej wkrótce wybuchnąć rewolucji socjalnej. Zrewolucjonizowana ludność miała zmusić sejm do zamianowania Rady Najwyższej, którąby się składała z 9 lub 15 członków, łączących w sobie władzę prawodawczą i wykonawczą. Rada ta, zdaniem Czyńskiego, który zamyślał o stworzeniu rządu z bliskich mu pochodzeniem i zapatrywaniami osób — miała stać się dla Polski tem, czem była w 1793 r. konwencja dla Francji. Sejm po zamianowaniu Rady Najw. powinien był się rozwiązać. Ponad Radą miała stanąć dobrana grupa ludzi. Jak wyobrażali sobie frankiści rewolucję społeczną, o tem pisał później Czyński w swojej francuskiej broszurze p. t. „*La Nuit du 15 août 1931 à Varsovie*", w której, co najciekawsze, nic nie wspomina o rozwiązaniu kwestji włościańskiej. A była to przecież sprawa, którą klubiści wszędzie podnosili jako najważniejszą do załatwienia. Pilniejszą bowiem sprawą dla Czyńskiego i towarzyszy było rozprawienie się na wzór francuski z t. zw. arystokratami. Miało to przyśpieszyć upadek społecznego porządku feudalnej Europy. Zdaniem wielu z nich, rewolucja socjalna w Królestwie objęłaby też Rosję, przygotowując grunt dla nowych Steńków Razinów i Pugaczewów.

Nawet po upadku stolicy nie zaprzestali klubiści swojej agitacji. Dzięki nim nie ustawały niesnaski wśród stronnictw, które wpływały demoralizująco na armję. Niedarmo pisze Szmit, („Historja..." t. III, 605), że „członkowie klubu i dziennikarze przygotowali nowy spisek".

Co się tyczy prawowiernych żydów, to zachowywali się oni podczas powstania listopadowego w stosunku do Polaków naogół nieprzyjaźnie. Lękali się oni bowiem, aby, po zaprowadzeniu w Królestwie nowego porządku, nie utracić tysięcznych korzyści, których, przy ogólnej, do najwyższego stopnia doprowadzonej demoralizacji urzędników, za moskiewskiego rządu używali. Faktorstwem, pochlebstwem, płaszczeniem się i złotem umieli żydzi pozyskać sobie najeźdźców. To też po wzięciu Warszawy, jak pisze Otton Spazier („Historja powstania narodu polskiego w 1830 i 1831 r. t. I. 305) „car Mikołaj hojnie łaską swoją wszystkich żydów obsypywał, szczególnie żydów w Królestwie, którzy mu się niemało na szkodę powstańców przysłużyli". Nie zachwycił się żydami polskimi, których współbracia paryscy wiedzieli wcześniej od rdzennych Polaków o wybuchu powstania (Sapieha: „Wspomnienia" str. 110) i ich zachowaniem się podczas wypadków 1831 r. słynny rewolucjonista rosyjski Bakunin. Jego zdaniem: „...żydzi polscy... w czasie ostatniego powstania chcieli służyć jednocześnie obydwom stronom walczącym, Polakom i Rosjanom, wobec czego jedni i drudzy ich wieszali" (J. Kucharzewski: „Od Białego Caratu do Czerwonego" t. II. 157). Uwiecznił też zachowanie się żydów, podczas wypadków 1831 r., mistrz Juljusz Kossak w akwereli p.t. „Zaaresztowanie szpiega".

STANIŚŁAW DIDIER

DUCHOWIEŃSTWO WOBEC KONFEDERACJI BARSKIEJ

COKOLWIEK zwykło się mówić o fanatycznie-katolickim charakterze Konfederacji Barskiej i o wpływie na nią kleru polskiego, cokolwiek głosi o męczeństwie księży poezja i publicystyka barska, trzeba jednak skonstantować, że duchowieństwo wówczas nacierpiało się dużo, ale nie poniosło krwawych ofiar na froncie. Nie słyszeliśmy o żadnym księdzu poległym na polu bitwy, słychać tylko o jeńcach i aresztantach. Bo też zresztą i moralnego udziału kleru w tej walce o wiarę nie należy przeceniać, ani też niema racji, by go pomawiać w czambuł o brak patrjotyzmu. Przecież także i żywioły świeckie nurtowała wówczas podstawowa wątpliwość: czy Konfederacja Barska idzie za dobrą gwiazdą i czy działa z czystych pobudek. A stan duchowny rozumiał lepiej, niż prostaczkowie — szlachta, że przyszłość wiary zależy w Polsce od napływu doktryn materjalistycznych, zwłaszcza zaś rozlewu wolterjańskiego sceptycyzmu, a nie od tego, czy ten lub ów dysydent zasiądzie w senacie.

Dyrektywy rzymskie rozchodziły się z dążeniami konfederatów stale, bez względu na to, kto zasiadał na Stolicy Piotrowej, — czy obrońca Jezuitów, bogobojny Klemens XIII, czy ich pogromca, Klamens XIV Ganganelli. Obaj ci papieże, ścierając się ostro ze świecką polityką państw burbońskich, między którymi główną rolę grała Francja, suflerka konfederatów, a widząc z drugiej strony powściągliwość i trudne położenie Stanisława Augusta, nie dawali konfederatom ani słowa bezpośredniej zachęty. Była wprawdzie chwi-

la, kiedy nad stosunkiem Rzymu i całego episkopatu do Poniatowskiego zawisły dość ciężkie chmury. Działo się to w początkach nowego panowania, kiedy rząd polski pilnie szukał środków do zbogacenia skarbu, a widział je tuż pod ręką w nagromadzonych kruszcach kościelnych i w olbrzymich, miejscami do $^1/_3$ części ziemi dochodzących nieruchomościach duchownych. Wracała na stół, zaległa jeszcze od czasów Modrzewskiego i Przyłuskiego sprawa podciągnięcia tych dóbr pod ciężary państwowe, wróciły i były przedmiotem narad z biskupami równie dawne spory o dziesięciny, o jurysdykcję księżą, o apelację do Rzymu, o jurysdykcję nuncjusza, które to sprawy zdawna obejmowano nazwą „kompozycji *inter status*". Rzecz godna podkreślenia, że kardynał sekretarz stanu Terrigiani w latach 1764-66 z jednakową niechęcią traktował postulaty dysydentów — i dążenia króla do usunięcia *liberum veto*. Tolerancja, jak i reforma sejmowa grozić miały jednakowo przywilejom Kościoła: papież, sułtan, caryca i król pruski zgodnie ujmowali się za „złotą wolnością". Stanisław umiał jednak przez swego posła Anticiego uspokoić w kurji zbyteczne skrupuły, a wśród biskupów umiał sparaliżować wichrzącą rękę Krasińskiego, wkrótce też „kompozycja", zagłuszona gorszą aferą dysydencką, została odesłana *ad Calendas Graecas*. Tenże Antici w okresie, kiedy król najposłuszniej ulegał Repninowi, wywarł nacisk na Rzym, aby księżom zakazano agitacji przez konfesjonał, przyczem nie cofnął się przed użyciem argumentu, że takie podburzanie ludów do buntu mogłoby fatalnie zaszkodzić kościołom, osobom i dobrom duchownym. Wprawdzie ówczesny nuncjusz Angelo Durini nie nadawał się na prekonizatora boskiego pochodzenia wszelakiej władzy, ale wyczuwano powiewy rzymskie także bez pośrednictwa nuncjatury. Ton kazań złagodniał, a episkopat polski wobec haseł wiary i wolności, wobec zadań oświaty i reformy, stanął rozbity, bezradny, podobny do rozstrojonego chóru, który pod dyrekcją nietrzeźwych mistrzów, prymasa i nuncjusza, śpiewał katolickiemu narodowi skłócone pieśni.

Trzej katoliccy książęta Kościoła i jeden unicki oddali jawnie dusze sprawie narodowej: wygnaniec Sołtyk, już tylko duchem w Konfederacji obecny, Krasiński polityk w każdym calu, nie apostoł, — i poczciwy, ale potulny Wacław Sierakowski arcybiskup lwowski; ten ostatni zresztą po wydatnej roli, jaką odegrał w pierwotnym spisku i po zniewadze doznanej w r. 1768 od żołdaków rosyjskich, żadnym czynem nie odpłaci krzywdzicielom, aż do rozbioru. Czwartego, metropolitę unickiego Filipa Wołodkowicza, król i Repnin zmusili (w lecie 1768 r.) do oddania zarządu metropolji w ręce Leona Szeptyckiego, biskupa lwowskiego, znanego oportunisty. Dyskretnie popierają ruch Łopaciński, biskup żmudzki i Bajer—chełmiński, nurza się w nim chwilowo kameleon, Ignacy Massalski. Należą do wtajemniczonych, ale niewiadomo, czy choć groszem wspomagają walczących: Ignacy Krasicki, Wodziński biskup smoleński i Kierski przemyski. O Podoskim, Młodziejowskim, Ostrowskim i o ich obyczajach, aż nie wypada w tem miejscu wspominać. Dla Gedroycia, biskupa inflanckiego, skończonego oportunisty ze szkoły Massalskiego, nawet „dyktatorowie" Czartoryscy zbyt śmiało zadzierają z Rosją. Szeptycki, biskup płocki i Okęcki chełmski, zachowują się tak, jakby dramat narodowy dla nich nie istniał. Turski, biskup łucki dopiero w obliczu powalonego Reytana odnajdzie głos w piersiach.

Wśród zakonów odróżnić można intelektualną arystokrację i demokrację. Pierwszą stanowią jezuici, pijarzy, misjonarze, teatyni. Tych wszystkich uczeni księża: Wyrwicz, Naruszewicz, Poczobut i Rogaliński, Konarski, Wiśniewski i Krajewski, wreszcie mądry i wpływowy Śliwicki utrzymują w nastrojach przychylnych królowi, i za to głównie dokucza im Durini; zwłaszcza Konarski Śliwicki i Wyrwicz całym wpływem studzili ferwor Warszawy. Tak samo krytycznie patrzą na Pułaskiego i towarzyszy paulini. O dominikanach, bernardynach, kapucynach, reformatach, franciszkanach, kamedułach, karmelitach, bazyljanach, nic ogólnego nie da się powiedzieć, według rozpowszechnionego jednak mniemania, zwłaszcza cudzoziemców, zakony żebrzące dostarczyły konfederacji niemało propagandystów, i ta żarliwość rosła wraz z uświadomieniem narodowem żywiołu świeckiego.

Nie ryzykując tedy zbytnich uogólnień, możemy zanotować w szeregach kleru epoki Sołtyka i Podoskiego różne typy, odpowiadające prądom i odcieniom całej opinji polskiej.

Na czele procesji ksiądz Marek Jandołowicz, karmelita, wedle poetyckiej legendy majestatyczny, gromowładny starzec z siwą brodą, w rzeczywistości jowialny, w sile wieku, bo czterdziestokilkoletni, z pewnością inteligentny i szczerze religijny asceta, lecz wcale nie anachoreta, owszem bardzo towarzyski i lubiany po dworach podolskich, znany od lat kilkunastu zamawiacz chorób, zaraz, gradów, najazdów i wszystkich djabłów. Uniknął zamknięcia w Berdyczowie, nie uszedł z Baru. Moskalom, zdaje się, niebardzo zaimponował, bo go zbili swoim zwyczajem i wysłali jako najniebezpieczniejszego wroga do Kijowa. Tam, zdeprymowany surowem w samotni więzieniem, dał się nakłonić do wyznania skruchy, wrócił po r. 1773, i długo jeszcze żył na Podolu, zaniechawszy cudownych praktyk. Sławę pośmiertną zawdzięcza wierszowanej „Prefecji" czyli wieszczbie, której jednak conajwyżej niektóre motywy można przypisać natchnionemu prostaczkowi z Podola. Rymy dobrał ktoś inny, naszem zdaniem najprawdopodobniej ks. Tomasz Strzemieńczyk Garlicki, *canonicus honorarius* biskupa kijowskiego Załuskiego, a po jego nieodżałowanem wygnaniu, „krucyfer" konfederacji krakowskiej przy Marcinie Lubomirskim i przy Czernym, poeta, kaznodzieja i dyplomata. Ten to krucyfer, wzięty do niewoli w sierpniu 1768 r., lecz „cudownie" uwolniony, trafił w r. 1769 na dwór Marji Teresy i królewicza Alberta w Preszburgu, nie dla innego oczywiście celu, jak dla zainteresowania ich obojga sprawą polską. Nie znalazł jednak uznania ani u biskupa Krasińskiego, ani u Generalności, która go wyświeciła z Jasnej Góry i tem naraziła na ponowną niewolę, w Wielkopolsce w marcu 1771 r. Dalsze losy jego niewiadome. Garlicki jest poczęści autorem, poczęści zbieraczem „książeczki do nabożeństwa" konfederatów barskich, parokrotnie drukowanej w XIX w. Za jego autorstwem w stosunku do t. zw. Proroctwa ks. Marka przemawia spowita w symbole myśl polityczna tego utworu: aby Orzeł Biały, napadnięty przez czarne orły pruskiego i rosyjskiego, szukał oparcia na pier-

siach dwugłowego habsburskiego, z którym złączony „cuda czynić będzie". W tym kierunku, naprzekór politykom, zapatrzonym w Drezno, Paryż i Stambuł, działał najgoręcej Garlicki.

Przy prymasie Podoskim kręcą się księża intryganci: kanonik Przedwojewski ex-prowincjał kapucynów daremnie faktoruje w Rzymie, kanonik Jan Karski, proboszcz babimojski, zdatny do wszelkich poruczeń, siedzi podobno na 2 stołkach, też zawsze gotów negocjować, konszachtować, faktorować. Podobne okazy: dwóch Wiażewiczów, Bohusza Siostrzeńcewicza, Kononowicza wyhodował w swej djecezji uczony „Strabon", fizjokrata, humanitarysta, oświatowiec i zaprzaniec Massalski, do której to szkoły wolno, zdaje się, zaliczyć i tych, co jezuitów bidowskich, co z Bonisławskim i Czerniewiczem na czele samą Katarzynę zachwycą swą usłużnością. W Prusiech wielki zawód zrobił swemu saskiemu stronnictwu opat oliwski Rybiński, który, przy całej wdzięczności dla Sasów i szacunku dla Krasińskiego, dotrzyma wierności nowemu królowi, z czasem będzie zeń filar Sejmu Czteroletniego.

Z Wesslem przyjaźni się, solidarny w całej robocie przeciwkrólewskiej sufragan Franciszek Potkański, dla nich obu jest suflerem sprowadzony, czy też nasłany zzewnątrz *abbé* Doublier. Krasińskiemu gorliwie służą na Śląsku ks. kanonik Piotr Pecz i Michał Hankiewicz, proboszcz żwaniecki obrządku ormiańskiego, w djecezji zaś kamienieckiej księża Matuszewski i Rakoszewski. Kancelarję cudzoziemską starego Branickiego prowadzi oddawna Betański, kanonik ołomuniecki. Ma swego dyplomatę, ks. Konopkę, zwanego czasem dla niepoznaki „*abbate Salini*", Marcin Lubomirski używa go w misjach do dworu wiedeńskiego, a w przystępie złego humoru maltretuje bez litości. Ma królewicz Karol ofiarnego, lecz miękkiego księdza kanonika Bakusicza, podobno arcypodłej kondycji. Dyplomatycznych misyj do Rzymu podejmowali się księża: Michał Sołtyk bratanek biskupa (1769), Wojciech Kleszczyński, kanonik chełmiński (1770).

Na konia wsiadł i ugania z szabelką po lasach w towarzystwie Bęklewskiego lub Sawy ks. Maciej Sołtyk, także kanonik. W rejestrach Generalności figurują ponadto Adam Rzewuski, opat wągrowicki, kanonik lwowski, Tomasz Michałowski, kanonik krakowski, Skotnicki opat klasztorny Cystersów w Pokrzywnicy, oraz trzej jezuici: Antoni Rojek, Józef Sasimowski, Andrzej Ahorn, z których pierwszy był kapelanem przy Michale Krasińskim, drugi przy Joachimie Potockim, trzeci przy Marcinie Lubomirskim. Niewoli zakosztowali dwaj księża Długoszewscy, Felicjan Hrycewicz petryta, Mikołaj Szumlański bazyljanin, Anzelm Szyszkiewicz benedyktyn, Franciszek Tomaszewski bernardyn, Jan Tyszkiewicz „z domu wzięty ruski kapłan".

Gdy jęczał cały kraj, musieli odcierpieć swoje i zakonnicy w klasztorach. Nie mówimy już o księżach unitach, pomordowanych przez hajdamaków, zaraz w początkach ruchu bito i więziono księży w Konstantynowie, Lublinie i Pyzdrach, podczas szturmu na Bar ks. Terlecki, rektor jezuitów, broniący cyborjum przy ołtarzu, cięty w głowę, ks. Małkowski unita zastrzelony. W Lublinie przeor Dominikanów dostał podobno 200 batogów za to, że kazał dzwonić na rozpędzanie chmur. 25 listopada 1769 roku kazał Weymarn Drewiczowi (nie wiadomo, czy także innym komendantom) brać z dóbr klasztornych i duchownych (prócz biskupich) prowjant i furaż darmo; król wyprosił wyjątek dla pijarów, misjonarzy i klasztorów żeńskich. Ponieważ jacyś księża krakowscy wplątani byli w spisek Wybranowskiego, Weymarn zmuszał tamtejsze klasztory do darmowego żywienia i pielęgnowania rosyjskich żołnierzy. Stąd też pretekst do wymuszeń i gwałtów, jakich przykłady widać w Lipowcu (sierpień 1770 r.) i na Stradomiu u misjonarzy (wiosna r. 1771): żąda się wiktu, opału, gotówki, wódki, kawy, wyszukanych gatunków win *ad libitum* i bezpłatnie. Jezuici piotrkowscy pociągnięci do odpowiedzialności za to, że Zaremba skorzystał z ich furty podczas walki o miasto trybunalskie w grudniu 1769 roku. Nowicjat u św. Barbary pod Częstochową złupiony przez Drewicza; klasztor zapłacił 2.226 duk. kontrybucji za to, że przyjął załogę konfederacką, nadto zburzono mu folwarki. Najgorszego losu doznał klasztor reformatów w Bieczu: Moskale „w nim znalezionych niektórych zakonników okrutnie skatowawszy, samego gwardjana i innych śmiertelnie raniwszy, drugich na miejscu skłówszy, potem kościół odbiwszy, wszystkie ozdoby kościelne świętokradzką ręką odarłszy, poświęcone naczynia, monstrancje, kielichy, patyny zabrawszy, sam Najświętszy Sakrament... rozrzuciwszy i zdeptawszy, nadomiar wzgardy na spisy biorąc i do ścian przybijając, różnemi naostatek najsromotniejszemi gwałtami miejsce i mieszkańców zelżyli". W okresie powstania Ogińskiego wzmogły się represje nad księżmi na Litwie, a po zamachu na Stanisława Augusta w Warszawie: Seldern przeprowadzał przykre a bezskuteczne rewizje u dominikanów i bernardynów stołecznych, ze Lwowa zaś wywiozła Moskwa ordynaryjnego kaznodzieję katedralnego, jezuitę Janiszewskiego, co w kazaniu 8 lisopada „zażył przez nieostrożność" wersetu ze Starego Testamentu o tendencji królobójczej.

Wszystko, cośmy tu zebrali, jakkolwiek w swoim czasie oburzające, stanowiło zwykły akompanjament wojen i powstań, w duchu obyczajów XVIII wieku, — bo też, z drugiej strony, kler polski nie okazał wówczas większego, niż szlachta, entuzjazmu czy też fanatyzmu. Na stu agitatorów i jałmużników powstania trafiał się jeden odstępca, jak katolicki „pop Nauszczyński", płatny z sekretnej kasy Repnina, jak Ślązak paulin, co szpiegował pod Częstochową na rzecz Drewicza, lub podobny doń benedyktyn w służbie Weymarna. Naogół też obóz barski nie był zadowolony z postawy duchowieństwa wobec jego usiłowań i tem się tłumaczy twardy ton odezw publicznych do kleru. Po bezskutecznej odezwie Michała Krasińskiego, który na ostatniem miejscu wzywał do pomocy *(subsidium)* stan duchowny, po żarliwych ślubach Pułaskich w Żwańcu, że prawa Kościoła w Polsce rozszerzą, gdy pierwszy rok ofiar nie rozgrzał czynników miarodajnych w tym Kościele, marszałek Czerny woła energicznie: „Pasterze nasi, posilcie synów wiernych Kościoła Świętego, wesprzyjcie braci, równie i swobody wasze broniących", i zaraz stawia 10-dniowy termin na wykonanie tej prośby. A 4 czerwca ogłasza tajemnicę publiczną, że „i święta sukienka w wielu dla wstydliwego zysku i wiary swej i praw uchyliła", że księża bywają podglądaczami, badaczami i w istocie szpiegami czynów konfederacji. Żąda więc od

biskupów surowych środków, „aby włóczęgi w sukniach księskich przez wszystkich dziekanów łapani byli i u nich inkarcerowani", aby nikt w kapie po prośbie nie chodził, aby dziadów gromady wiejskie zatrzymywały lub zatrudniły u siebie. „Po cudownych miejscach niech się pielgrzymi nie włóczą... ale Boga chwaląc niech pracują na wyżywienie się", inaczej narażą się na rózgi.

Wielką gorycz wywołało *breve* Klemensa XIV do Stanisława Augusta, a jeszcze większą wydane na polecenie z Rzymu listy pasterskie Młodziejowskiego i Szeptyckiego, niedwuznacznie skierowane przeciw konfederacji. Próbowano zwalczać je argumentami z Pisma Świętego, marszałek Mazowiecki, „poważając z głębokim uszanowaniem nabożeństwo jubileuszowe", potępiał manifestem 18 kwietnia 1770 r. oziębłość biskupów w obronie wiary, idącą tak daleko, że piętnują jako zdrożny, buntowniczy azard patrjotyczne wysiłki konfederatów, — o co sobie i innym manifestant waruje rozprawienie się z biskupami *„in facie"* Rzeczypospolitej.

Pac traktował rzymską „encyklikę", jako zwykłą ceremonję przy wstąpieniu na tron nowego papieża, ale na „zuchwały i podły" proces Młodziejowskiego, opacznie tłumaczący intencje Stolicy Apostolskiej, znalazł osobliwe lekarstwo: niech sufragan Potkański w swoim procesie tak objaśni bullę, aby lud *hoc titulo* bardzo zatrwożony utwierdzić. Któż albowiem wierzyć i wnosić może, aby Rzym, „w którego od początku zaszczepionej między sobą wiary Rzplita Polska w niezachwianym ani poruszonym aż dotąd trwała posłuszeństwie, wtenczas kiedy naród cały na obronę tej świętej religji obfitej krwi nie szczędzi, gdy najznaczniejsze osoby stały się jej prześladowców ofiarą, gdy wygnania, więzienia i rozliczne śmierci rodzaje mężnie znosi, ażeby Rzym natenczas, albo raczej jeden za prywatnie świadczone sobie łaski nieporządną wdzięcznością natchnięty biskup, tak gorszące wydawał kaznodziejom i samym nawet spowiednikom zalecenia". O ile wiemy, nie wskórała jednak nic Generalność ani w Rzymie, ani nawet u Potkańskiego.

Jeszcze gwałtowniej od Czernego piętnuje Zaremba „nikczemność bezbożnych kainów", co „za najmniejszym nieprzyjacielskim rozkazem i pogróżką", „z ostatnią hańbą religji świętej i zelżywością poświęconego charakteru swego" szpiegują na korzyść Rosjan. Mnich, który się włóczy po kweście dalej jak o trzy mile od swego klasztoru, karany będzie śmiercią, co więcej, karę poniesie także zwierzchność jego, podobnie jak magistraty i synagogi odpowiadać będą za szpiegowskie grzechy swych gmin. Pułaski także krótko trzymał paulinów jasnogórskich, Kossakowski z księżmi nie robił ceremonji, a Generalność, zrażona do tego zakonu po fakcie oddania przez ks. Wargawskiego części skarbów do mennicy królewskiej, myślała już o czasowem wydaleniu z Częstochowy wszystkich księży z wyjątkiem pięciu najstarszych i najpoważniejszych, do zbadania zaś stanu skarbca wyznaczyła śledczą komisję, która zresztą nie znalazła już czasu na wykonanie zleceń. Tak samo bezsilnem westchnieniem został uniwersał Generalności z 7 września 1770 r. do opatów, gdzie na podstawie konstytucji 1699 r. przypominano opatom obowiązek odprawiania poselstw zagranicznych własnym kosztem: oczywiście nie myślano wykonać tego przestarzałego przepisu w całej rozciągłości, chciano owszem poprzestać na tem, „co ich (opatów) miłość ojczyzny wydzieli". Nie wydzieliła nic, lub prawie nic, jednak do zapowiadanego obliczania i egzekwowania należności według dochodów opactw nie doszło. Wogóle ogromny odłam hierarchji kościelnej w Polsce pozostał wobec zmagań 1768-72 r. neutralnym, a wobec króla lojalnym, dzięki czemu, nawet po zamachu listopadowym, krzyczano na księży i fanatyzm w poselstwie rosyjskiem, krzyczano w dalekim Berlinie, ale ani Stanisław August, ani trzymający z nim postępowcy na drogę tłumienia zakonów i reform józefińskich nie weszli.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

„MEMENTO MEI"

Znowu w tę starą wchodzisz aleję,
Znaną scenerję okrutnych dni!
I znów w niej wicher żałobnie wieje,
Gdy się podrywa zpośród jej pni.

Z głębi alei dreszcz przyszedł ziemny,
Sercu nieobcy, jak trumien dech —
I głos przeleciał przez szpaler ciemny,
Głos przytłumionych, lecz znanych ech.

I znów się drzewa chwieją wokoło,
Jakby umyślny ruszył je wiew,
Którym ci upiór owiewa czoło,
Krok podcinając i mrożąc krew.

Widziadłem kresu serce zmartwiało —
Usta kurcz chwycił — i płacz i śmiech —
I zamknął zewsząd aleję całą
Chłód, co ostrzega, jak trupi dech.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

NA WIDOWNI

Francuz o żydach w Niemczech. — Znaczenie eksperymentu hitlerowskiego. — Rola państwa przy rozwiązaniu zagadnienia żydowskiego. — „Brak dyskrecji". — Przygoda francuskiego publicysty.

JÉRÔME et JEAN THARAUD — to firma literacka, znana każdemu, kto interesuje się zagadnieniem żydowskiem. Autorom tym zawdzięczamy szereg prac, poświęconych tej kwestji, napisanych z talentem i znawstwem, jak w szczególności: „*Quand Israël est roi*", „*L'An prochain à Jérusalem!*", „*Petite Histoire des Juifs*" i t. d. Ze zrozumiałem więc zaciekawieniem bierze się do rąk najnowszą książkę tych pisarzy, noszącą tytuł: „*Quand Israël n'est plus roi*" („Gdy Izrael już nie jest królem"), a omawiającą położenie żydów w Niemczech dzisiejszych[1]).

Jak inne dzieła, podpisane nazwiskiem Tharaud, jest i ta rzecz utworem — do pewnego stopnia—filosemickim. Przejawia się to niejednokrotnie w zaufaniu, z jakiem przyjmuje się w niej wiadomości, dostarczane ze źródeł żydowskich, co, jak mi się wydaje, jest też powodem niezbyt trafnego ujmowania niektórych zjawisk, niedostatecznego ich zrozumienia i zgłębienia. Przejawia się jeszcze wyraźniej we współczuciu, z jakiem ukazywane są wiekowe cierpienia ludu izraelskiego, w sympatji do malowniczej egzotyki ghetta, z jego tak bardzo odrębnemi od europejskich pojęciami, tradycjami, obyczajami. Mimo to jednak, przez sam fakt dokładniejszego przedstawienia reform, jakie w zakresie sprawy żydowskiej wprowadzone zostały w Trzeciej Rzeszy, książka powyższa musi być uznana przez żydów za niebezpieczną, dla czytelnika zaś francuskiego czy polskiego jest niewątpliwie pouczającą i ciekawą.

Jakiż jest bowiem najważniejszy wniosek z tej lektury i jaki wogóle jest z szerszego, europejskiego stanowiska najgłębszy sens dokonanego przez hitleryzm w Niemczech eksperymentu? Ten przedewszystkiem, że rozwiązanie zagadnienia żydowskiego, w szeregu dziedzin, można osiągnąć nieomal że z dnia na dzień, prostym zabiegiem wydania kilku aktów prawodawczych i zarządzeń. Metoda ta, jeśli chodzi o odżydzenie urzędów, sądownictwa, adwokatury, prasy i t. d., nie może być już — po jej zastosowaniu niemieckiem — traktowana jak pomysł fantastyczny, nie do urzeczywistnienia.

I tu, w nawiasie, w formie krótkiej dygresji, nasuwa mi się uwaga na temat stosunków polskich. Dla pokolenia, wychowanego w niewoli, użycie środków ustawodawczych czy administracyjnych przy rozwiązywaniu kwestji żydowskiej jest ciągle jeszcze czemś trudnem do ogarnięcia wyobraźnią, niezrozumiałem: pokolenie to przywykło przecież, że walkę toczyły z sobą dwa społeczeństwa: polskie i żydowskie, natomiast państwo (rosyjskie, austrjackie czy pruskie) było w tym sporze czynnikiem niezaangażowanym, neutralnym. I dzisiaj również taka postawa państwa wydaje mu się czemś naturalnem, koniecznem: w swoich planach walki z żydami w dalszy ciągu pozostawia je na uboczu, nie myśli zgoła o posłużeniu się jego siłą, o wydawaniu odpowiednich praw, o ułatwieniu akcji poparciem rządowem. Ale młodzi, wychowani w przesadnym nawet kulcie państwa i jego wszechwładzy, prostą drogą muszą dochodzić do konkluzji, że to narzędzie tak uniwersalne, tak skuteczne, nie może przecież być pozostawione w bezczynności, przy najważniejszej dziś dziejowej pracy narodu, jaką jest należyte załatwienie sprawy żydowskiej. Pod tym względem „ideologja państwowa" wyda owoce naprawdę nieoczekiwane dla inicjatorów...

Powracając do omawianej książki, warto wskazać na wyrażenie autora, wiele wyjaśniające, jeśli chodzi o przyczyny antysemityzmu, zarówno w Niemczech, jak we wszystkich wogóle krajach europejskich. Mówi mianowicie o „*manque de discrétion*", o braku delikatności, jako o jednej z najbardziej nieprzyjemnych wad żydowskich, uniemożliwiającej współżycie z innemi narodami. Ten brak dyskrecji, z jakim wtargnęli w życie duchowe narodu niemieckiego, w jego politykę, literaturę, sztukę i t. d. — i to w momencie, kiedy po klęsce najbardziej to ich wciskanie się było drażniące — musiał nakoniec doprowadzić do reakcji, niekiedy nawet ostrej i brutalnej. Człowiek o subtelniejszej kulturze, delikatny, instyktownie zdaje sobie sprawę z tego, kiedy jest w jakiemś gronie gościem niepożądanym, i sam dyskretnie usuwa się z towarzystwa, w którem się znalazł nie w porę. Żydom brak całkiem — jako narodowi — tego wyczucia, nie chcą przypuścić, że ich obecność mogłaby być dla kogokolwiek niemiła, aż w pewnej chwili narody muszą im to powiedzieć w sposób wyraźny, co więcej, muszą czynem potwierdzić, że nie żartują.

Na zakończenie jeszcze jeden szczegół, tym razem już dotyczący nie stosunków niemieckich, lecz francuskich. Dziełko „*Quand Israël n'est plus roi*", ukazywało się początkowo w jednym z dzienników paryskich, w formie korespondencyj, później jednakże przerwano w połowie jego publikację. Oto zaś, co usłyszał autor po powrocie jako wytłumaczenie:

„— Ah! Co za historja! — zawołał mój redaktor i przyjaciel, kiedy wszedłem do jego gabinetu. Nigdy nie widziano u nas nic podobnego!.. Setki protestów... Tysiące odmów prenumeraty... W Sali Wagram, na *meeting*'u protestancyjnym przeciw Hitlerowi (mamy je teraz codziennie), mówcy wzięli pana na języki, pana i nasz dziennik oczywiście. Klęli pana i mieszali z błotem... A potem banda rozjuszona przyszła pod nasze okna, żeby spalić egzemplarze pisma, w których były pańskie artykuły. *Auto da fé* — to niezgorzej... Ale oto, co najważniejsze. Agenci ogłoszeniowi wtrącili się do rzeczy. Zagrozili, że przestaną umieszczać u nas reklamy. A pan wie, agenci żydowscy — to przynajmniej 60 procent ogłoszeń każdego dziennika... Więc, rozumie pan, wstrzymaliśmy druk... I nie pisałem panu o tem, aby nie robić przykrości w czasie podróży"...

Kiedy żydzi są już zmuszeni ujawniać w ten sposób swoją siłę, położenie ich staje się bardzo niebezpieczne. Bo, wśród wielkich narodów zwłaszcza, żydzi dopóty mogą oddziaływać rzeczywiście, dopóki są przez opinję publiczną niedostrzegani. Antysemityzm nie wybuchał nigdy w krajach, w których wpływy żydowskie by-

---

[1]) Jérôme et Jean Tharaud: „*Quand Israël n'est plus roi*", Paris, Plon 1933. Mimo zaznaczonej w tytule spółki autorskiej, w tekście mówi ona o sobie zawsze w liczbie pojedyńczej, wobec czego, dla ułatwienia, pisać będę również w dalszym ciągu nie o „autorach" książki, ale, poprostu, o jej „autorze".

ły słabe albo ukryte, ale w tych właśnie, gdzie okazały się najpotężniejsze, i uzewnętrzniły się w sposób najbardziej drastyczny. Bo już takie są narody, że nie lubią, gdy obcy przybysz zechce krępować ich swobodę w ich własnym kraju.

JAN REMBIELIŃSKI

PRO VARSOVIA

DYSKUSJA nad poprawnością języka rozgorzała w prasie podczas sezonu ogórkowego, w którym panuje ubóstwo innych tematów. Powstała też w okresie historycznym, w którym ludzie ze szczególnem upodobaniem szukają tematów jaknajbardziej odległych od piekących zagadnień dnia, nie wymagających deklarowania się politycznego, nie drażniących cenzora i nie powodujących robienia wycinków i notatek po groźnych, choć niepozornych i cichych biurach. To też można prorokować, że przelew atramentu, już dziś bardzo obfity, będzie trwał długo i niejednego jeszcze skusi do wzięcia udziału. Ma on pewne złe strony dla przeciętnego czytelnika pism, ale niepodobna zaprzeczyć i stron dobrych. Może i doprowadzi do podniesienia się poziomu językowego w prasie polskiej. W każdym razie zaś jest prawdziwem zwierciadłem umysłów. Na artykułach językowych można robić studja nad psychologją indywidualną i dzielnicową.

Po Warszawie i Lwowie zabrał głos Kraków — nie ten czcigodny, a szczególnie w tym wypadku powołany do odezwania się, nie naukowy, lecz ten, co czyta na codzień „IKCA'a", a od święta „Tajnego Detektywa" i ufa nabytej z tych źródeł wiedzy; — zabrał głos w osobie, kryjącej się poza inicjałami J. Ch. („Il. Kurjer Codzienny" z daty 3 września b. r.). Z wielką uroczystością, pod biblijnym tytułem: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni", z przytoczeniem aż trzech wersetów z Ewangelji św. Mateusza i z manjerami Starego Rynku rzucił się na Warszawę, aby jej bardzo ordynarnie nawymyślać. W artykułach p.p. Giertycha, sen. Koskowskiego, Chojeckiego dostało się to i owo b. Galicji — więc zemsta! Hajże na Warszawę!

Czytelnik przypomni sobie, że na tem samem miejscu wystąpiłem przeciw dążnościom do centralizacji językowej. Czy więc w panu J. Ch. powitam pożądanego sprzymierzeńca? Niech mnie Bóg broni od takich sprzymierzeńców! Lecz niema złego, coby na dobre nie wyszło. P. J. Ch. pogodził mnie z Warszawą i skłonił do wystąpienia w roli jej szampjona.

I jeżeli z „warszawskimi purystami" polemizowałem tonem grzecznym i umiarkowanym, to w tym wypadku uważałbym podobny ton za nieodpowiedni. Są występki, które nie zasługują na inną karę, niż chłosta.

Niech poszczególne dzielnice Polski współzawodniczą z sobą w dbałości o czystość języka ojczystego, niech sobie nawzajem wytykają błędy. Nie obejdzie się przytem czasem bez krótkich spięć. Lecz i pokłócić się z sobą warto po bratersku, gdy wszyscy mamy ten sam chwalebny cel przed oczyma. Nie przystępujmy jednak do polemik z zaściankową zawziętością. A przedewszystkiem naprzód myślmy, a potem piszmy. Odwrotny sposób postępowania nie da dobrych rezultatów. I nie piszmy nigdy o rzeczach, o których nie mamy wyobrażenia.

Jeżeli na terenie warszawskim (tak jest, na terenie, szanowny panie J. Ch., chociaż nie dodajemy, czy na „płaskim", „pagórkowatym", czy „górzystym") pojawia się niemiłe przeświadczenie o wyższości językowej własnej dzielnicy, to p. J. Ch. stanowi *pendant* do tego objawu — tylko *pendant* podniesione do kwadratu, a przechodzące granice przyzwoitości, które warszawiacy szanują. Jest nadto smutnym okazem człowieka, który do każdego wyrażenia przystępuje, uzbrojony w logikę (zresztą swoistą) i w jej imieniu wydaje drakońskie wyroki, piętnując jeden zwrot za drugim jako idjotyzmy (a więc i tych, co ich używają, jako idjotów).

Oto trzy wyrażenia, tak właśnie określone przez purystę z „IKAC'a": „w czasie odczytu" (zamiast „podczas odczytu"); „na terenie powiatu" (zamiast „w powiecie"); „w całym szeregu wypadków" (uwaga pana J. Ch.: „w całym szeregu? naprawdę? Może mu jednak gdzieś coś brakło do całości?").

Wszystkie trzy wyrażenia uważam za zupełnie poprawne i w stosunku do innych, o identycznem znaczeniu, równouprawnione. Trudno mi nawet odtworzyć sobie tok myśli, który w tych wypadkach doprowadził do wyroku i do wymyślania od idjotów. Chyba p. J. Ch. jest zdania, że wyrazowi wolno mieć tylko jedno znaczenie, a „co nadto jest, ode złego jest". Zupełnie podobnie analizuje poezję holenderski handlarz kawy w „Maksie Havelaarze" Multatulego — i dochodzi do takich samych wyników.

Nawet i styl urzędowy niezawsze jest barbarzyński i niedorzeczny. P. J. Ch. oburza się na rozporządzenia o b o w i ą z u j ą c e, jakie „w styczniu r. 1919 i dużo jeszcze później" zdobiły ulice Warszawy („nie redagował ich żaden Małopolanin" — dodaje z dumą). Bo przecież rozporządzeń nie wydaje się poto, aby nie obowiązywały... Zapomina tylko p. J. Ch. o dwóch drobnostkach, o czasie i przestrzeni. W zmartwychwstałej Polsce były przecież tysiączne rozporządzenia władz zaborczych, okupacyjnych, tymczasowych polskich i stałych polskich, trwały najrozmaitsze podziały terytorjalne, brak było w c a ł y m s z e r e g u w y p a d k ó w (tak, panie J. Ch.) dostatecznego rozgraniczenia kompetencyj. Stąd przydawka „obowiązujące" przy rzeczowniku „rozporządzenie" wcale nie była taka głupia. A już widzieć w niej błąd językowy to nonsens, widzieć „rosyjskie zestawienie pojęć" to objaw manjactwa.

Bo p. J. Ch. ma i rosyjskiego ćwieka. Pewne składniowe błędy warszawiaków piętnuje jako rusycyzmy. Powiada, że możnaby je przypisać staremu wpływowi łaciny, ale natychmiast woła: „Nie! wolne żarty... Wszakże to tylko... Iłowajski, czy inny Dostojewski z Apuchtinem w parze"...

O Iłowajskim — może lepiej w naszych czasach nie wspominać. Ale cóż za zestawienie! Wielki Dostojewski (jako „inny Dostojewski") wlazł pomiędzy autora podręczników f a ł s z y w e j historji i osławionego kuratora! Dla p. J. Ch. to wszystko tylko „durne moskaluszki", których wpływ objawił się rusycyzmami w języku Królestwa. Gdzie Rzym, gdzie Krym?

Ale może walczę z wiatrakami... Może „IKC"-owi ktoś podłożył kukułcze jaje, aby go ośmieszyć...

W takim razie pogratulować redakcji, w której przecież są i poloniści...

Jeżeli jednak artykuł nietylko umieszczony był, ale i pisany na serjo, trzeba go uznać za wyraz umysłowości jakiegoś austrjackiego kancelisty, który w życiu nie wyjrzał poza Kraków, a gdy widział pożar gdzieś za Wisłą, mawiał: „Hoj, nie miejcie turbacji, to się pali w Galicji".

Ludzie z różnych dzielnic o szerszym horyzoncie umysłowym, naprawdę dbający o czystość języka, a przystępujący do pisania o tej sprawie z dobrą wolą i bez lokalnego zacietrzewienia, zawsze z sobą dojdą do ładu. I to tembardziej, że w gruncie rzeczy różnice dzielnicowe polszczyzny są w porównaniu z innemi językami europejskiemi minimalne. Ale wara od mieszania się w dyskusję zarozumiałym nieukom i pedanckim manjakom!

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

NAUKA i LITERATURA

ROCZNIK LITERACKI

„ROCZNIK LITERACKI" za rok 1933 (pod redakcją Zygmunta Szweykowskiego, Instytut Literacki, Warszawa 1934 r., str. 345) otwiera fejleton prof. Stefana Kołaczkowskiego „Literatura polska w 1933 r.", poczem idzie długi szereg rozmaitego rodzaju referatów, w których mowa o całym niemal dorobku naszym literackim z 1933 r. („Lirykę" ocenia K. W. Zawodziński, „Dramat" St. Adamczewski, „Dramat w teatrze" K. Irzykowski, „Powieść" L. Piwiński, „Wznowienia literackie" St. Pigoń, „Wydanie sejmowe Mickiewicza" Al. Brückner); następnie o przekładach z obcych literatur, wreszcie o takich sprawach jak: badania nad literaturą (J. Krzyżanowski), teorja i krytyka literatury (M. Kridl), laureaci r. 1933 (T. Makowiecki) i t. p.

Wszystko tu przedstawia się „solidnie", nosi piętno fachowości, nie jest wszakże pozbawione pierwiastka swobody w ocenie faktów literackich „na własną odpowiedzialność".

Tak np. w fejletonie prof. St. Kołaczkowskiego czytamy: „Niestety, naszą dzisiejszą literaturę można podzielić: na grupę barbarzyńców, prymitywów i na kulturalnych dekadentów. Wspólna tym grupom jest tylko megalomanja"...

Czytelnik, nieco obeznany z naszą dzisiejszą literaturą, zgodzi się najpewniej, w pierwszej chwili, na powyższy sąd o niej, gdy jednak następnie zacznie odczytywać referaty innych krytyków, to go wnet obiegną rozmaite wątpliwości, ponieważ z tych referatów wynika, że ta „dzisiejsza" literatura roi się, jeżeli nie od arcydzieł, to w każdym razie od dzieł wybitnych, znakomitych, sięgających wysokich szczytów natchnienia i artyzmu...

Z liryką naszą wprawdzie nie jest zbyt świetnie, gdyż sporo w niej grafomaństwa i pretensjonalności, nie brak jednak i tu „najgłębszego ujęcia zjawisk" — co już jest wcale dobrze, gdy tyczy się to „barbarzyńców, prymitywów i kulturalnych dekadentów". W dramacie natomiast jest zewszechmiar znakomicie, z czternastu bowiem, omówionych przez St. Adamczewskiego, „blisko połowa, to utwory o wartości trwalszej. Dramaty Hertzówny, Niżyńskiego, Morozowicz-Szczepkowskiej, Peipera (nawet!), Szelburg-Zarembiny i Szukiewicza, to rzeczy rzetelnego wysiłku i niepospolitego talentu"... Czyż można więcej wymagać od nie-prymitywów i nie-dekadentów?

Z powieścią także nie jest najgorzej. I w tym dziale twórczości recenzent wyróżnia niejeden talent „wybitny i subtelny", niejedną powieść bierze z przyjemnością do ręki.

Czytelnik, słowem, niezbyt korzystnie „nastawiony" względem dzisiejszej literatury przez autora wstępnego artykułu „Rocznika", gdy odczyta cierpliwie referaty następne, napewno dozna pociechy i niejednego z tych swojskich (nie wyłączając nawet niezupełnie aryjskich) „barbarzyńców, prymitywów i kulturalnych dekadentów", zacznie czytać z przyjemnością.

Ze względu na dzisiejszą obojętność szerszego ogółu na sprawy twórczości literackiej — będzie to jedną, niemałą, zasługą „Rocznika".

Nadto z uznaniem można podkreślić „rzetelność wysiłku" jego współpracowników, którzy, powodowani jedynie sumiennością zawodową, sporo sił i czasu poświęcili na pisanie o wielu takich utworach literackich, które z przykrością bierze się do ręki.

W. J.

Z DZIEJÓW „EKSPRESJONIZMU"

„CZY CIĘ przez teskliwe Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem niepomnym?"... Przypominają się te słowa Kochanowskiego, gdy mowa o działalności „Zdroju", tak niedawnej, a tak już zapomnianej, „niepomnej"... Bo też, prawdę mówiąc, niema tak znów czego pamiętać. Zostało po owym „Zdroju" trochę nazwisk, które w przeważnej swej części tak nam mało mówią o sobie, jak nazwiska różnych Żyglińskich i Łapsińskich, odgrywające ongiś w partykularnem życiu „wolnego" miasta Krakowa znaczną zapewne, ale tylko lokalną rolę, natomiast w szerszej Polsce zgoła nic nie znaczące. Jak Łapsiński kropił tuziny sonetów, opisujący okolice lub ulice Krakowa, tak i dziś jeszcze można spotkać epigonów owego epigonizmu, wytrwale fabrykujących przez lat piętnaście całe mendle i kopy podobnych utworów, dziwnie jednostajnych, powtarzających się w myśl przysłowia: „czem skorupka zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci".

Zawinił tu niski poziom stawianych zamłodu wymagań. Redakcja „Zdroju" głosiła, że przyjmuje wszystko, co ujawnia choćby odrobinę talentu.

Przy tem wszystkiem był wysoki poziom — aspiracyj, ujawnionych w mocno patetycznych programach i odezwach, gdzie „wieszczego ducha" miał znamionować jedynie brak „wagi w słowiech". Aspiracje rzadko sprostały czynom. „Bania poezji" rozbiła się wprawdzie nad głowami, ale z niej wyciekło wiele... wody. Od wody tej wziął „Zdrój" nazwę zgoła słuszną. Szkoda tylko, że nie była to woda rzeźwiąca, kryniczna, a choćby mineralna przeciw wewnętrznym dolegliwościom, lecz — ot — woda dość mętna, jaka gromadzi się na drogach i polach po roztajałym śniegu. Inaczej zresztą być nie mogło, gdy dopiero tajały śniegi, a do siewu i pracy jeszcze nikt się nie zabierał...

Ci współpracownicy „Zdroju", którzy wzbili się ponad miernotę, rychło albo przestali w tem piśmie pisać, zbuntowali się i przenieśli się gdzieindziej (W. Hulewicz), albo zmarli (Stur), albo rzucili bogi stare (Kosidowski), albo usiedli na zdobytych laurach i po dziś dzień przeżuwają rozgłos wówczas zdobyty, nie tworząc już nic nowego (Jerzy Hulewicz, Wittlin). Jeden tylko poszedł dalej, ten, który zapewnił „Zdrojowi" trwalszą nieco pozycję w dziejach literatury polskiej: był nim Emil Zegadłowicz. Drukowany w „Zdroju" poemat jeg „Odejście Ralfa Moora" był dla tego pisma „objawieniem", faktem epokowym, choć dziś poeta sam dzieło to zalicza do najsłabszych swych utworów (dowód w tem, że wcale nie umieścił zeń wyjątków w retrospektywnej antologji „Pokosy", którą omówimy osobno). Ale dla samego Zegadłowicza epokowym był poemat „U dnia, którego nie znam, stoję bram", gdzie poeta znalazł własną drogę, co go zawiodła do szczytów: do „Powsinogów beskidzkich". Tu już się ukształtowała nakoniec poezja wysokiej miary. „Zdrój" spełnił swe zadanie — i przestał wkrótce istnieć.

A sama doba, w której istniał, była „dobą bez kształtu". Tak ją nazywa sumienny krytyk, S. Kasztelowicz, w monografji poświęconej tym sprawom („Tragicy doby bez kształtu; o współczsnej twórczości literackiej: espresjonizm". Biblj. „Gazety Literackiej", skład główny Gebethner i Wolff). Książka jego wyrosła ze szlachetnej intencji wyprostowania opacznych sądów, przyjmowanych „na wiarę", utrwalonych w zbiorowej opinji społeczeństwa dzięki „hucznemu rozgłosowi", z jakim wprowadzano każdą prawdziwą czy fałszywą, często drugorzędną „nowość" literacką.

Do jakiego stopnia „krzyk" mody (bardzo krzykliwy i hałaśliwy) był już w samym zawiązku snobizmem i buffonadą, dowodzi choćby fakt, iż „zdrojowcy" pierwszego zaciągu przywłaszczyli sobie nazwę „ekspresjonistów", zanim... poniewczasie dowiedzieli się, co wogóle wyraz „ekspresjonizm" zagranicą (w Niemczech) oznacza! Jak dzieciom, pytającym o oznaczenie różnych „mądrych" słów, mówi się coś „byle zbyć", tak i owej młodzieży, chcącej koniecznie pisać, i to nie inaczej jak „ekspresjonistycznie", nablagował, ile wlezie, Przybyszewski, odgrzewając stare, zwietrzałe manifesty własne z przed lat dwudziestu. Dopiero później, puściwszy się na p e ł n ą wodę, poczęto szukać gruntu pod nogami, wypracowywać t e o r j e ekspresjonizmu, a ponieważ odczuwano trwożącą (nie tworzącą) pustkę, więc by ją zapełnić, wpuszczano do przybytku „ekspresjonistycznego" pisarzy, mających nieraz talent, ale mało co wspólnego z ekspresjonizmem, albo i zagorzałych ekspresjonistów, ale bez talentu. Kiedy to — jakoby ewangeliczne — zbieranie „wszystkich po drogach siedzących" nie przyczyniło się do uświetnienia uczty, sprowadzano aż zdaleka tych, co mieli nadać zrzeszeniu pewną formę, ująć rozlany zdrój w pewne łożysko. I byłaby się operacja udała, gdyby pacjent (czasopismo) nie umarł, a sprowadzeni lekarze po pięknym pogrzebie nie rozjechali się... Dziś pozostały tylko spłowiałe klepsydry, które wzruszają jedynie ludzi osobiście zainteresowanych...

Na trzy okresy podzielił Kasztelowicz życie „Zdroju". Pierwszy okres (powstawania myśli o nowyce prądach) i trzeci (ukształtowanie się tychże) omówił najobszerniej. W osobnych rozdziałach rozwinął filozoficzne założenia ekspresjonizmu (ewolucjonizm, „czysta religja"), poglądy estetyczne, stosunek do społeczeństwa, kultury współczesnej, do prądów literackich, poczem dał zwięzłe, wyraźne sylwetki poszczególnych wybitniejszych twórców. Zamknął wszystko syntezą, bilansem. Niepotrzebnie tylko użył gazeciarskiego frazesu: „w r a m a c h syntezy". Czyżby chciał wszystkich ekspresjonstów, jak się mówi, „ozłocić, wypchać, w ramy ująć i za oknem postawić"? Możeby to już była złośliwość...

J. B.

NAKŁADEM ZBIOROWYM

Wobec trudności znalezienia nakładcy wśród księgarzy i wydawniczych instytutów, zubożonych lub uzależnionych politycznie, — zwracam się do miłośników literatury, aby ułatwili mi wydanie książki w drodze prenumeraty.

Praca moja jest fragmentem mało znanych dziejów literatury polskiej z połowy XIX wieku i ma tytuł: „Norwid". Cena książki w prenumeracie 4 zł. Osoby, które do 1 listopada r. b. nadeślą tę kwotę, otrzymają książkę tej jesieni bez ponoszenia kosztów przesyłki.

Zamówienia i pieniądze proszę kierować do Administracji „Myśli Narodowej": Warszawa, Jerozolimska 17 przekazami pocztowemi lub czekami P. K. O. — konto „Myśli Narodowej" nr. 3.105 (z oznaczeniem, na co i podaniem swego adresu). Łączyć można tę operację z przesyłką prenumeraty na „Myśl Narodową".

ZYGMUNT WASILEWSKI
Redaktor „Myśli Narodowej"

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dobrze znany czytelnikom „Myśli Narodowej", utalentowany pisarz — M i c h a ł P a w l i k o w s k i opracował w obszernej broszurze zagadki wysokich gór, jako czynnika wysokiej kultury. Broszura nosi tytuł: „Człowiek w obliczu gór. Ustęp z historji kultury" (Kraków 1934. Odb. z „Przeglądu Współcz.", str. 38). Książka bardzo pożyteczna; streszcza spory odłam wiedzy o kulturze; podaje rzeczy mało ogółowi znane i — co jest ważne — rozszerza temu ogółowi widnokrąg zapoznawanych wartości.

Przemawia w tej książce człowiek w tych sprawach kompententny, sam taternik, jest synem taternika Jana Gwalberta, autora znakomitej rozprawy „Natura i kultura", inicjatora prądu ochrony przyrody, redaktora znakomitego rocznika tatrzańskiego „Wierchy".

Ochrona gór — według wykładu Pawlikowskiego — jest ochroną najsubtelniejszej bodaj wartości kulturalnej, jaką człowiek w psychice swej nosi, mianowicie — bezinteresownego (idealistycznego) umiłowania przyrody. Uczucie to staje się dostępne świadomości ludzkiej na wysokiem poziomie ukształcenia duchowego, niemniej drzemie jako instykt u wszystkich. Dopóki ludzkość pozostawała w trwałych z przyrodą stosunkach, uczucie to nie miało nazwy, odezwało się zaś przy odpowiedniem na ten punkt nastawieniu świadomości przez Rousseau, a jako reakcja na przerost świata komponowanego przez człowieka, świata triumfującego po zwycięskiej walce z przyrodą. Romantyzm uczynił góry domeną poezji, dziś jednak o górach rozmawiać można nietylko w poetyckiem uniesieniu, ale publicystycznie, jako o dobrodziejstwie społecznem człowieka cywilizowanego. Osiągnęliśmy już na codzienny użytek poetyckie dawniej szczyty. Potrzebujemy gór dla swoich celów idealnych, mających za punkt wyjścia umiłowanie przyrody. Potrzeby te są większe, niż się zdawało tym, którzy uprawiali alpinistykę dla zrywania szarotek lub polowania na kozice, lub tym, którzy uprawiali karkołomną akrobatykę wspinania, a tembardziej wyższe są od tych potrzeb wulgarnej, parwenjuszowskiej uciechy, pozwalającej sobie na budowanie kolejek szczytowych i zakładanie na skałach szynków. Kultura, aby się nią poczuła, łaknie kontaktu z majestatem czystej przyrody i przez jej poszanowanie i ukochanie utwierdza się w swojem człowieczeństwie.

Pięknie napisana, pełna erudycji i głębokich przemyśleń książka Pawlikowskiego zasługuje na uważne przeczytanie. (W.)

*

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Młodych Prawników i Ekonomistów (Spółdzielnia z odp. udz.) ukazał się tom I „Komentarza do nowego Kodeksu Handlowego" w opracowaniu prof. J a n a N a m i t k i e w i c z a. Jak wiadomo, Kodeks powyższy, ogłoszony w październiku 1933 r., wszedł w życie z dniem 1 lipca b. r. w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 27 czerwca 1934 r.

Komentarz prof. Jana Namitkiewicza stanowi pierwsze i jedyne dotychczas wyczerpujące opracowanie prawa handlowego, jakie z dniem 1 lipca b. r. obowiązuje na terenie całej Rzeczypospolitej Polskiej.

Tom I wydawnictwa, liczący ponad 300 stron druku, obejmuje księgę I-szą Kodeksu oraz orzecznictwo Sądu Najwyższego, zawiera dla celów porównawczych także orzecznictwo sądów niemieckich i t. p. oraz powołuje odpowiednie artykuły kodeksów handlowych, obowiązujących poprzednio na obszarze b. zaborów.

*

G w i d o C h m a r z y ń s k i „Sztuka w Toruniu, zarys dziejów". Nakładem Zarządu Miejskiego w Toruniu 1934 r. Autor opisuje budowle, których już niema i te, które do dzisiaj przetrwały, architektoniczny układ miasta, „układ tak logiczny, zwarty i celowy, jakiemi były tendencje dobrze zorganizowanego mieszczaństwa", w obrębie murów i bram: Mostowej, Łaziennej, Żeglarskiej, Klasztornej, Paulińskiej,

Wartowniczej i Wieży Czerwonej. W rozdziale o architekturze średniowiecza — fortyfikacje, zamek, kościoły, gmachy publiczne i domy mieszczańskie — charakteryzuje ducha tych budowli, wyrosłego z potrzeb militarnych, religijnych i kupieckich. Na podstawie aktów odtwarza wygląd zburzonego jeszcze w 1454 r. zamku krzyżackiego i baszt, zburzonych kościołów gotyckich, kościoła św. Jerzego, św. Wawrzyńca, kościoła szpitalnego św. Ducha i kaplicy św. Katarzyny, licznych kamienic mieszczańskich, gotyckiego gmachu bractwa św. Jerzego, zwanego „Dworem Artusa", oraz ratusza nowomiejskiego. Podobnie, niestety, w Krakowie, mimo opozycji mistrza Jana Matejki, zburzono zabytki gotyku: ratusz, szpital Duchaków i znaczną część murów obronnych, jako zestarzałe i rzekomo zawadzające rozwojowi miasta, jak znów dziś „unowocześnia się" Rynek i Wawel. W starym Toruniu gotycki charakter murów przechował się szczęśliwie w wyższym stopniu. Najpiękniej zachowała się średniowieczna rzeźba i malarstwo. P. Chmarzyński, uczeń ks. d-ra Szczęsnego Dettloffa, profesora uniwersytetu poznańskiego, tłumaczy różnorodność stylu wsporników, posągów, figur drewnianych, ołtarzów, krzyżów, krucyfiksów, pieczęci i płyt nagrobnych wpływami kultury Zachodu i okolicznościami politycznymi. Wogóle, i słusznie, stan sztuki w danym czasie widzi w zależności od wypadków i nastrojów politycznych. Pogląd ten o duchu historji w starym Toruniu popiera wprost nieporównaną znajomością źródeł archiwalnych i studjów naukowych, przeważnie niemieckich. Równie sumiennie, jak całokształt materjały naukowego, dotyczącego starożytnego Torunia, także w rozdziałach „Architektura nowożytna", „Rzeźba nowożytna" i „Malarstwo nowożytne" traktuje badacz sztukę nowych czasów. Były one do niedawna w rezultaty ubogie, gdyż „fakt sprowadzenia Torunia przez rządy pruskie do podrzędnej roli miasta prowincjonalnego i oderwanie go od jego naturalnego politycznego i gospodarczego podłoża, jakiem była Rzeczpospolita Polska, stwarza całkowity zastój i obumarcie twórczej myśli artystycznej". To też „przywrócenie Toruniowi dawnej roli regjonalno-stołecznej z XIV wieku odbiło się już pozytywnie w dziedzinie architektury i organizacji twórczości plastycznej".

(A. W.)

*

S t a n i s ł a w T y n c „Szkolnictwo Torunia w ciągu jego dziejów". Nakładem miasta Torunia. — Szkolnictwo Torunia zjawiło się niemal równocześnie z samym miastem, w roku 1245 i stale w ciągu wieków dążyło do coraz większego rozwoju. Szkoła staromiejska przetworzona została z czasem w gimnazjum, a powołani zdaleka słynni uczeni mieli w pracy nad organizacją i podznoszeniem poziomu nauki pomoc w ofiarności rady miejskiej. W nowym budynku ustanowiono podział studjów na sześć klas, trzy niższe u św. Jana, trzy wyższe u Panny Marji, z programem literatury greckiej i łacińskiej, nabożeństwami, modlitwami i kazaniami, dysputami, deklamacjami i przedstawieniami teatralnemi, o charakterze wyznaniowym, protestanckim. Prócz tego podział ten zawierał kurs języka polskiego dla cudzoziemców, przeważnie Niemców z Prus Królewskich i Książęcych, którzy przybywali dla studjowania, obok normalnego programu nauk lub tylko specjalnie, języka polskiego. Pracę nad przemienieniem gimnazjum na gimnazjum akademickie podjął wybitny i słynny humanista Henryk Stroband, burmistrz Torunia, a praca jego miała też na celu uprzedzenie Jezuitów w ich staraniach o założenie kolegjum, połączonego ze szkołą. Autor z godną podziwu pracowitością, szczegółowo i plastycznie przedstawia, zależnie od warunów politycznych, historję wzrostu i upadku gimnazjum, rządy rektorów i zmienne losy kolegjum jezuickiego. „W smutnej dla Polski pamięci czasach saskich, kiedy umysłowość polska skrzepła, zamarła, kiedy produkcję literacką reprezentują różni *minorum gentium* wierszokleci, kiedy erudycję reprezentują kalendarze i senniki, kiedy jedna myśl polityczna świeci nielicznemi światłami Jabłonowskich, Leszczyńskich, Garczyńskich, wreszcie Konarskich, w gimnazjach pruskich: gdańskiem, elbląskiem, toruńskiem rozwija się pięknie żywe zainteresowanie sprawami polskiemi, dziejami Rzeczypospolitej, historją jej kultury, kościoła, szkół, języka. Żywią je profesorowie gimnazjum toruńskiego, Niemcy pruscy z pochodzenia, ale obeznani z językiem polskim". Niedługo to trwało. Za rządów pruskich nadano gimnazjum charakter państwowy i wprowadzono szereg zmian organizacyjnych, przeważnie na szkodę tej instytucji. W roku 1920 przejęły zwierzchnictwo nad szkolnictwem w Toruniu władze polskie wraz z miastem. Na tem kończy autor swe studjum, z archiwalną wiernością odtworzywszy historję toruńskiego szkolnictwa i ukazawszy, jak w zwierciadle, charaktery i dążności, powołanych przez miasto, uczonych dawnych, minionych czasów średniowiecza. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Bardzo dobra książka o masonerji francuskiej („*Vérites sur le Franc — Maçonnerie*") ukazała się w Paryżu staraniem czasopisma „*Revue Internationale des Societés Sécrétes*". — Rzecz niewielka (170 str.) i tania (10 franków), lecz bardzo ścisła i pełna ciekawych wiadomości. Dowiedzieć się z niej można nietylko tego, jakie są cele i organizacja masonerji, lecz także tego, jaka jest, jej rola polityczna i metody działania we Francji. Książka jest dziś, gdy sekta toczy śmiertelny bój o swe istnienie niezbędnym podręcznikiem dla każdego, kto chce rozumieć, co się dzieje w Europie. (V.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

O LOS „GRAFIKI"

ROK 1934 już po raz drugi okrywa grafików i grafikę polską żałobą. W kwietniu zmarł najbardziej zasłużony dla rozwoju naszego drzeworytnictwa, Władysław Skoczylas, niedawno zaś pisma doniosły o zgonie Franciszka Siedleckiego, redaktora dwumiesięcznika „Grafika", długoletniego prezesa „Związku Zawodowego Polskich Artystów Grafików". Zmarły, jako artysta, wsławił się głównie portretami, wykonanemi w akwaforcie: Norwida, Nietzschego, Krasińskiego i t. d. Nieobce mu były również zagadnienia sztuki tanecznej i teatru. Ostatnie lata swego życia poświęcił niemal całkowicie czasopismu, które redagował. Nie była to praca łatwa, ani trud wdzięczny. Jedyne u nas pismo, poświęcone grafice, stale borykać się musiało z trudnościami finansowemi. Redaktor nietylko treść miał w opiece; warunki zmuszały go do ciągłych wysiłków, starań, pertraktacyj, próśb o poparcie, by pismu zapewnić byt. Zastrzykami poświęcenia i dobrej woli podtrzymywało się jego żywot, od numeru do numeru.

Nie mogłem o tem nie pamiętać, otrzymując kolejne zeszyty „Grafiki" do zrecenzowania. Dlatego nieraz błędy, które powinnoby się wytknąć, usterki, czy to w doborze treści, czy w jakości reprodukcyj, wolałem narazie przemilczeć, czekając, aż pismo, tak niezbędne i pożyteczne, utrwali mocniej swe fundamenty. W gruncie rzeczy sytucja jego redaktora była nie do pozazdroszczenia. Wszyscy mogli mieć właściwie do tego człowieka pretensje. Papiernie i drukarnie: o ciągłe zaleganie z należnością, czytelnicy — o pewne braki w poziomie wydawnictwa, którym często nie było poprostu za co zaradzić.

W tych warunkach tylko gorące umiłowanie podjętej przez się pracy, umiłowanie, jakie właśnie cechowało ś. p. Siedleckiego, zapewniało pismu egzystencję; teraz, gdy go zbrakło, nie wiemy, jaki będzie dalszy los „Grafiki". Obawiam się, że w takich okolicznościach niewielu się znajdzie chętnych, by pismo nadal prowadzić, tembardziej, iż pozostały po niem — o ile mi wiadomo — tylko długi. Do upadku zaś jedynego w Polsce czasopisma, poświęconego propagowaniu sztuki czarno-białej, za wszelką cenę należy nie dopuścić, gdyż grafika w dorobku polskiej kultury współczesnej już zbyt poważną zajmuje pozycję.

Ostatni, 5-ty zeszyt „Grafiki" ukazał się w lecie i zawiera, między innemi, artykuły obu niedawno zmarłych artystów: Skoczylasa i Siedleckiego; następny został zapowiedziany na październik — oby nowe i pomyślniejsze wreszcie warunki sprawiły, by mógł się ukazać.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

KARIN NA UKRAINIE

NA UKRAINIE bawiła w czerwcu znana pisarka duńska, sędziwa Karin Michaelis. Używa się epitetu znana, a nie znakomita, bo nic tam w tem znakomitego niema. Tej rangi i tego poziomu myśmy mieli dwanaście albo dwadzieścia cztery. Udało jej się raz z tym „Wiekiem niebezpiecznym", którym, ponieważ temat był śliski, pieprzny, ryzykowny i niby epatujący, zajęli się z miejsca komiwojażerowie intelektualni i handlarze nowości. Zaczem z filisterskiej babiny duńskiej zrobiono heroinę postępu płciowego i zwiastunkę reformacji seksualnej.

Ni stąd ni z owąd nagle najprzeciętniejsza sobie prowincjonalna boy-owniczka o wyzwolenie (i swywolenie) kobiety, wyrosła, dzięki berlińskim kawiarniom, na jakąś *célebrité*, na jakąś wielkość, *nomen magnum*. Wystarczy dziś porównać migawkowo tę indywidualność nieindywidualną z taką sto lat temu panią Staël czy George Sand, a teraz z niedawną panią Rachilde lub Colette (już nie mówiąc o śmiałych Angielkach i Amerykankach), aby stwierdzić, jak szablonowem, dętem i przemijającem było to pisarskie zjawisko.

Ponieważ atoli „firma" na międzynarodowym księgarskim rynku, to choć spłowiała czy zwietrzała, dla celów propagandowych jednak się jeszcze może przydać. „Rabindranathana" proszą syjoniści do Palestyny, aby go reklamowo wyżyłować... Więc towarzysz prezes Postyszew wpadł na pomysł, żeby zdemodowaną, starszejszą jejmość zaprosić do Charkowa i Kijowa. I wilk będzie syty i koza cała i nienaruszona wróci do Kjöbenhavn, dumna z tego, że „zaryzykowała", rozentuzjazmowana gościnnością i gigantami, rozpowiadająca postępowym jejmościom w okularach cuda i cudeńka o traktorach i elewatorach. „Duzo scenscia małe kosta, weź pan sobie babę z prosta". Musiała odmłodnieć roztyła Karin przez ten wojaż po takiej masie wrażeń, emocyj i sensacyj. Na całe dziesięć lat wystarczy jej materjału wakacyjnego z tych dwóch czy trzech tygodni.

A jak się to robi to *„oczkawtiratielstwo"* wobec cudzoziemców, szczególnie literatów łapczywych a bezkrytycznych, to świeżo doskonale zdemaskował nikt inny, jak Ilja-Lejzorek Rojtszwanc-Erenburg, w artykule typowo słonimskim, w którym w bukiet róż komplemenciarskich napakował też sporo kolców godnych... Kolcowa, także arcyświetnego fejletonisty.

Jeździła sobie tedy Karin Michaelis wspaniałemi *pacquard* czy *rolls-royce* to tu, to tam, a wszędzie jej wyczyniano owacje i oracje. W Kopenhadze już właściwie nikt się teraz za nią nie obejrzy, nikt nie zaczepi, nie zapyta, nie zainterwiewuje, opatrzyła się wszystkim i ziewają ku niej, gdy zacznie coś przemawiać. Tu zaś, czy w Charkowie czy w Kijowie toasty, hurra! gala, bukiety i bankiety, na których raz przemawiał prof. Wieliczko (prezes wszechukraińskiego Towarzystwa kulturalnej łączności) a raz może sam Mykitienko (dramatysta), czy inny dygnitarz z „Woksu" lub któryś z urzędowych literatów *à la* nasz Sierosz lub Kaden.

Pokazywano jej oczywiście wszystko to, co pokazywano naszemu poecie pielgrzymowi, Władysławowi Broniewskiemu. Taksamo otoczyli ją zwartym kołem „bujacze" i informatorki (inturistki). Kto tam tylko umiał po niemiecku, czy *„parlefranse"*, to go przydzielono, żeby „genialną" babinę olśniewał. Oglądać mogła własnoręcznie całe Potem-Kino i kompleksy i kombinaty kasarnianych uli i „Dnieprogresy" i „charkowski kawałek New Yorku" i Dniepropietrowsk i Dnieprostroj. Można zgóry już przewidzieć i wyimaginować sobie, w jak trombitowy entuzjazm uderzy w Tel-Awiwie Rabin-dr. Anath Tagore i jak grubą księgę otyła *bas-bleu* poświęci reklamowaniu Sowieckiej Ukrainy i jej wielkorządcy Postyszewa i głównodowodzącego korpusów ukraińskich Jojnie Jakira *(sic)*. Pokazali jej zapewne wszystko, wszystko, co pokazania godne... turystom z europejskiej burżu-Azji. Pewne atoli drobne szczegóły zakryli przed nią, tak jak musieli zakryć przedtem przed tym Herr-Jotem, a potem przed naszym Wł. Broniewskim.

Nie zaprowadzili jej na grób nieszczęsnego samobójcy, starego przyjaciela Lenina, Skrypsiaka.

Ani razu nie wspomnieli przy niej nazwiska największego dotychczas poety ukraińskiego, samobójcy Chwilowyja. Rządowi literaci Kułyk i Kopytenko ani razu nie wspomnieli nawet jego nazwiska. Ani Piotr Pawłowicz Postyszew, ani towarz. komisarz oświaty (Żatoński) ani razu też nie wspomnieli o zeszłorocznym potwornym głodzie, o którym można było czytać listy takie:

„Jemy liście i korę z drzew już od dwóch lat. Suszymy plewy i robimy z nich mąkę. Jedzenie nasze składa się ze szczawiu, wody, soli, korzeni i kory".

„Pieczemy chleb z plew, mieszanych z trocinami, szczury i myszy uważane są za jedzenie zbytkowe. Padlinę pożera się odrazu".

„Warunki sanitarne, rzecz jasna, są straszne, to też choroby epidemiczne jak tyfus brzuszny i cholera szerzą się w sposób zastraszający. W Stawropolu były także wypadki dżumy".

„Niektóre miasta stają się celem napaści band ze wsi zgłodniałych". „W szpitalach brak wszelkich najpotrzebniejszych lekarstw i środków dezynfekcyjnych".

„Nieprawdopodobne ilości pasorzytów opadają każdego wszędzie, zarówno w lokalach publicznych, jak i w tramwajach. Wskutek rozporządzenia władz co pewien czas zatrzymuje się tramwaje na ulicy. Znajdujący się w nich pasażerowie zmuszeni są do zgrupowania się na ulicy, poczem następuje rozpylanie jakiegoś płynu antyseptycznego, niewiele to jednak pomaga".

Tak było w r. 1932. Rok zeszły był rokiem olbrzymiego urodzaju, ale i olbrzymiego wywożenia... w głąb Syberji, gdzie pono zamagazynowane leży (na wszelki wypadek) 30.000.000 ton... W tym roku jest źle, jest bardzo źle, jest tragicznie. Posucha. Liczą na 50 miljonów ton z całego państwa, podczas gdy zeszłego roku było 89. Znów tedy grozi katastrofa głodowa i wyprawy karne (pacyfikacje) i represyjna wojna domowa z chowającymi i ukrywającymi *„wreditielami"* (kułakami...), kontrrewolucjoneramí...

Otóż o tem wszystkiem nie rozmawiano ani razu ani z Karin Michaelis ani z naszym Wł. Broniewskim. Jak najstaranniej te tematy drażliwe podczas wszystkich objazdów i bankietów, literackich deklamacyj i recytacyj omijano. To też Potemkino ukraińskie prezentowało się efektownie i imponująco. Poeta z Polski opisał w swym tygodniku tę Kanadę Europy Wschodniej jak najróżowej, piórem maczanem w roztopionem, słonecznem, płynnem złocie. Sowietofilstwo maksymalne. Niczem Cot, niczem Herriot, niczem Bash, niczem Asch, Lecache i t. p.

Oto bowiem, jak poeta polski tłumaczył i usprawiedliwiał gospodarkę sowiecką i głód zeszłoroczny w Naddnieprzańskiej Kanadzie? Czytamy w jego elukubracji:

„Dwa lata temu na Ukrainie podobno miejscami panował głód. Nie był on wywołany ani nieurodzajem, ani inną żywiołową klęską, ale pojawił się jako produkt uboczny ostrej walki, jaką „kułak" czyli zamożny chłop toczył z rządem sowieckim o prawo indywidualnego władania ziemią. Młode kolektywy, niezaopatrzone w dostatecznym stopniu w siłę mechaniczną i personel kierowniczy, porały się z trudnościami, robiły błędy, walczyły ze szkodnictwem. Kułacy, pod natchnieniem czynników wrogich Sowietom, postanowili — krótko mówiąc — zagłodzić miasta. Nie siali, nie zbierali. Tu i owdzie podpalono kolektywy. Bydło ulegało niewytłumaczalnym epidemjom"...

Tak to widocznie opowiadali p. Wł. Broniewskiemu bujacze, oczkowtiratielcy, inturyści, których kazionne łgarstwa tak zabawnie opisał Ilja Erenburg. Taksamo oczywiście rozpowiadali i do Karin Michaelis przydzieleni literaci urzędowi, towarzysze Kułyk i Kopytenko...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Żydowski „Nasz Przegląd" nie może wydziwić się Polakom, że instyktownie sympatyzują z dążeniami narodów, które bronią się przed zalewem żydowskim. Co jest? Dlaczego? A może opanowanie tych społeczeństw przez żydostwo okazałoby się dla polskich interesów korzystne?

Żydzi nie rozumieją, iż wspomniana tu sympatja jest odruchem, że jest wyrazem chrześcijańskiej zasady „Nie życz bliźniemu twemu, co tobie nie miło"... Nie życzymy innym krajom zażydzenia, jak nie życzymy im powodzi, trzęsienia ziemi, cholery, chociaż ktoś mógłby tłumaczyć i wywodzić uczenie, że żywiołowe klęski u sąsiadów poprawiłyby nasze interesy gospodarcze, stworzyły dla nas pomyślniejszą konjunkturę...

Taki już, niewyrachowany mamy sposób myślenia.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM